

zdarzenia

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

KRAKÓW

18. VIII. 1957 r.

Nr 15

CENA ZŁ 1.50

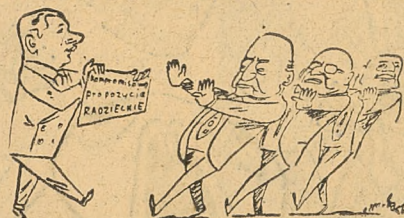
MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL HUMORU

W BORDIGHERA NA RIWIERZE WŁOSKIEJ



— Spójrz, jakie nowe twarze
RYS. MAJA BEREZOWSKA

W KOMISJI ROZBROJENIOWEJ



Krok naprzód, dwa kroki wstecz.
RYS. JERZY ZARUBA



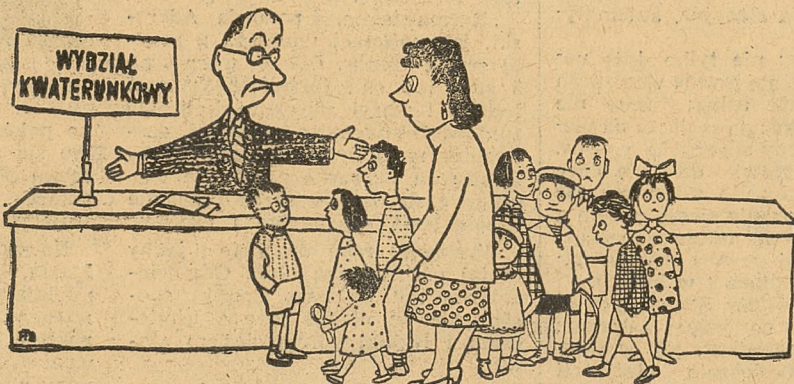
A ty, mój synu, jesteś wierzącym
komunistą czy tylko praktykującym
RYS. ERYK LIPIŃSKI

Szpilki

W ZWIĄZKU Z WYŚCIGIEM O RENTOWNOŚĆ W SZTUCE



Wygrała o pierś...
RYS. MAJA BEREZOWSKA



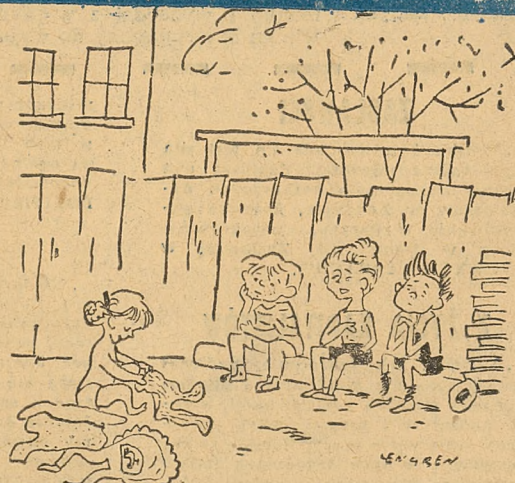
Nie mam, nie urodzę

RYS. HA-GA

GOSĆ ZAGRANICZNY W POLSCE



Ich stu i on jeden
RYS. HA-GA



A ja Ci mówię Staszek że te całe
striptisy to nuda

RYS. ZBIGNIEW LENGREN

PRYZYŻNANO
PIERWSZĄ NAGRODĘ
SALONU KARYKA
TURY, WYSTAWIE
„SZPILEK” OBEJMUJĄ
CEJ OKOŁO 150 PRAC
MAJI BEREZOWSKIEJ
HA-GI, LINKEGO
ZBIGNIA, LENGRENA
JERZEGO ZARUBY
I ERYKA LIPIŃSKIEGO

BRAWO „SZPILKI”

S T. L E M

FELIETON KASSANDRYCZNY

Związek Młodzieży Socjalistycznej w Krakowie rozplakatował odezwę „Do wszystkich Ludzi Uczciwych”, wzywającą do tworzenia Ochotniczych Komitetów Obywatelskich. Mają one współpracować z milicją, prokuraturą, w walce ze spekulacją, łapownictwem, złodziejstwami, które — jak się o tym dowiadujemy wciąż z prasy — rozrastają się w niepokojący sposób.

Odezwę wydrukowana została w czarnej ramce, jak nekrolog, a jej ton ogólny przypomina wezwanie „wszyscy do pomp” — na zagrożonym okręcie.

Ludzie grupowali się, przed plakatami, czytali po cichu i rozchodzili się. Obawiałem się, że na tym się skończy; plakat pokryją inne — o występach jazzowych zespołów, o meczach piłki nożnej, i zniknie pod puchnącą skorupą papierów. Jeszcze jeden apel, jeszcze jedna akcja, tym razem taka bardziej „oddolna”.

Prasa nasza pełna jest podobnego „bicia na alarm” już z górą od roku, i stało się to, co się stać na dobrą sprawę musiało: przyzwyczajaliśmy się. Na ogół publikuje się już notki tylko o aferach, w których skradziono dobrze ponad milion złotych; kradzieży marnych stu tysięcy nie ogłasza się, może dlatego, że nie starczyłoby papieru. Jeżeli okręt ma jedną dziurę, to sprawę załatwi paru facetów z deską, podporką; inna rzecz, kiedy burty są jak rzeszoto. Zamiast pracować na swoich stanowiskach, cała załoga musiałaby latać bez tchu od rana do nocy i od nocy do rana, zatykając dziury.

Jeśli założymy, że przez te dziury wlewa się nie siona woda, lecz strumyczki forsę problem staje się jeszcze bardziej skomplikowany. Zamiast dziurę zatkać, lepiej przystąpić do niej własną kieszeń — nieprawdaż? Równocześnie osoby fachowe i, jak należałoby sobie życzyć, kompetentne, wypowiadają w tej materii sądy, żeby użyć łagodnego określenia, co najmniej dziwne.

Niedawno słuchałem w radio audycji o krytykowaniu wyroków i postępowania sądowego przez prasę. Była to dyskusja wybitnych speców — adwokatów, sędziów, dziennikarzy. W pewnej chwili wyłonił się w niej problem, czy wyroki skazujące są u nas zbyt łagodne, jak twierdzi prasa i opinia publiczna. Poważni fachowcy twierdzili, że nie; inni się temu sprzeciwili; dylematu nie rozstrzygnięto. Zdziwiło mnie to, że sam termin „łagodność” nie został bynajmniej sprecyzowany. Wydaje mi się, że nie chodzi o surowość, czy łagodność kary, a tylko o jej rezultaty społeczne, czyli, w zastosowaniu do przestępstwa — o opłacalność przestępstwa.

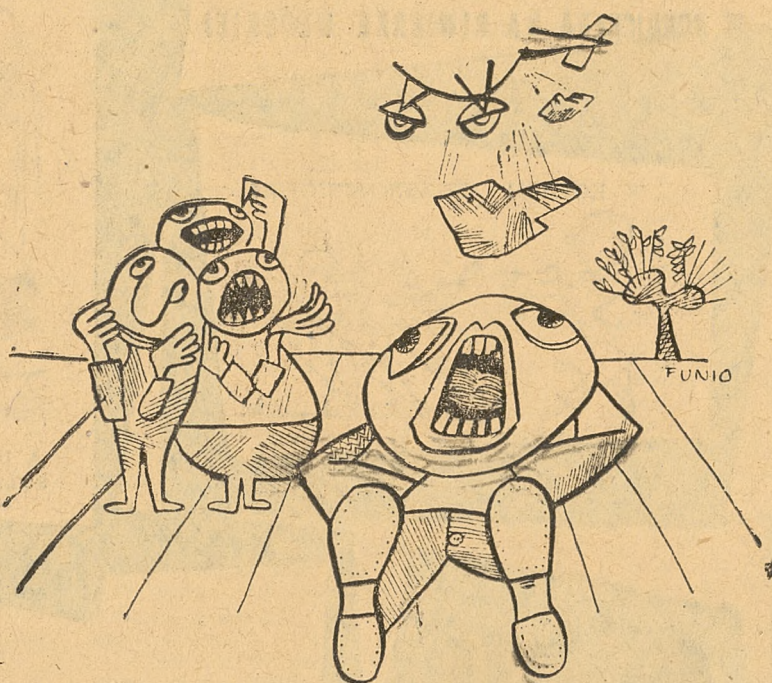
Jeżeli po trzech, czy czterech latach można siać z kryminału prosto w marynarskiego Chevroleta i pojechać nim do dobrej cioci, która przechowała pod tapczanem „mankujący” milion, to kara nie jest chyba za surowa, dzięki takiej osłódce?

Dziwna, niemal cudowna jest owa łatwość, z jaką ludzie, którzy przez dziesięć z górą lat mieli być pełne marksizmu, zapomnieli naraz, wraz z jego niedobrymi konsekwencjami, o jego racjonalnych, słuszych, rzeczowych tezach!

Co powoduje taki stan, że „złe się dzieje w państwie duńskim”? Nie-dobrzy ludzie? „Zła wola” obywateli? Nic podobnego — twierdził Marks: winna jest zła organizacja ludzkich stosunków. Należy naprawić, zmieniać tę organizację, a wtedy i ludzie okażą się nie tacy źli, jak na to wygląda.

Do czego zmierzam? W tej chwili tylko do jednego problemu: społecznej odpowiedzialności jednostki. Odpowiedzialność ta, jak dotąd, co się tyczy pewnej kategorii ludzi, jest w znacznej mierze fikcją.

Weźmy na przykład tak zwanych „kacyków”. Te osoby, rodem z Afryki centralnej, nie tym się odznaczają, że noszą kółko w nosie i biegają w spódniczkach z lian, ale tym, że są, praktycznie, bezkarni. I gdzieś są te kacyki? Nie wiem. Nie znam osobiście żadnego. Są oni podobni do krasnoludków, które powoduje kwasnienie mleka. Nikt ich nie widzi, ale mleko robi się takie, że gęba od niego cierpi. Przez dziesięć dni w Krakowie nie mogłem dostać żadnej



Rys. FUNIO

zagranicznej gazety, bo Klub Międzynarodowej Prasy był w remoncie, a sprzedaż pism w innym miejscu nie uruchamiano. Jest to, oczywiście, drobiazg, zupełne głupstwo. Nikt nie był winien, zapewne przyznano nagłe kredyty na remont, nie można ich było nie wykorzystać, żadnych tu nie ma kacyków, i w ogóle nie ma o czym mówić. Ale jeśli dyrektor Rzeźni Miejskiej dostanie kredyty na przemalowanie podłóg i sufitów, i zamknie na dwa tygodnie cały interes, co wtedy? Dyrektor nie nie będzie winien. Nie będzie mięsa, i koniecznie winne będą „przyczyny obiektywne”.

W ustroju kapitalistycznym dyrektor taki poszedłby z torbami. Zamknięcie interesu nie na dni — na godziny — tak uderzyłoby go w kieszeń, żeby zapisać z całą rodziną. Naszemu to nie grozi; nasz jest niezależny finansowo dzięki Państwu. Może jednak za wiele takiej suwerenności ekonomicznej? Może trzeba by zorganizować rzecz tak, aby się zamykanie interesu nikomu nie kalkulowało?

Wtedy nie trzeba by do świadomości apelować. Byłoby i prościej i pewniej.

Kto raz został zasądzony za przestępstwo łapówkowe, nie powinien więcej liczyć na posadę w administracji państwowej czy spółdzielczej. Kto nakradł, nie powinien dostać koncesji na sklep czy inne przedsiębiorstwo. Kto przesiedział się za manko i wychodzi z więzienia, powinien być zmuszony do wyjawienia,

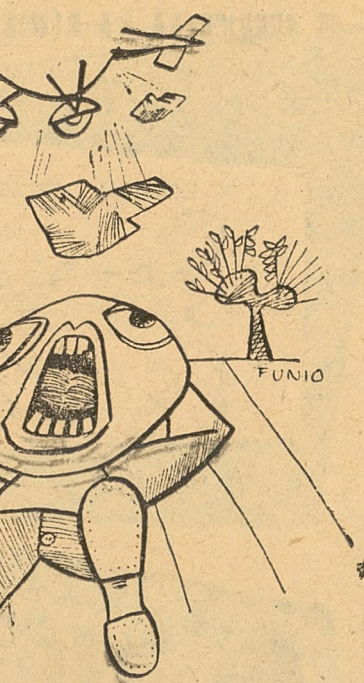
z jakich środków prowadzi szampański tryb życia — jeżeli go prowadzi. Wyrok powinien zmuszać do zwrotu skradzionej sumy dożywno: w ten sposób zlikwidowałoby się problem dobrych ciotek, przechowujących dolary w tapczanie. Takie wyroki nie powinny podlegać żadnym amnestiom.

Mamy domorosłych zbawicieli ojczyzny, ludzi najczarniejszego serca, największej uczciwości i szlachetności, których naiwność, przemieniona na materię, stworzyłaby Himalaje.

Kisiel z „Tygodnika Powszechnego” wierzy np. w zbawczą moc czterech miliardów dolarów. Gdybyśmy je dostali od kogoś dobrego, powiada, to byśmy raz na zawsze uzdrowili gospodarkę.

Albo tak, albo i nie, jeśli by wszyscy położyli się brzuchami do góry z otwartymi gębami, pilnując tylko, żeby zrzucane z amerykańskich helikopterów nylonowe gołębki wprost między zęby wpadały.

Między nami a Zachodem, czy między nami a Czechosłowacją istnieje



Rys. FUNIO

nie tylko i nie głównie różnica ilości lodówek i skuterów na mieszkańca, ale przede wszystkim — różnica organizacji społecznej, jakości istniejącej w społeczeństwie więzi, odpowiedzialności, przestrzegania obowiązujących norm współżycia we wszystkich dziedzinach. Auta, o których marzymy wszyscy — to znaczy zarazem: sieć dróg, stacje obsługi, magazyny części zamiennych. Brak tłoku w kolejach, to nie tylko eleganckie wagony, ale przede wszystkim: nowe tory, urządzenia stacyjne, automatyzacja ruchu.

Budownictwo: nie tylko dużo nowych mieszkań, ale przede wszystkim — powszechność usług: żeby nie trzeba było taskać do szklarza na plecach drzwi, kiedy się szybko wybije. Jeśli się szklarzowi dziś nie chce przyjść do domu, to jakże mu się zechce, gdy dostanie swoją porcję z tych wynispanych czterech miliardów? Dolarami trzeba będzie latać dziury w oknach i w butach.

Związek Młodzieży Socjalistycznej nie poprzestął na jednej odezwie: czytam w „Dzienniku”, jak wylicza tych, którzy niesłusznie otrzymali koncesje na prywatne przedsiębiorstwa — i obiecuje działać tak dalej.

Choć to związek młodzieży badałże ateistycznej, cisną się na usta słowa: niech ich Bóg wspomaga!

A także nas wszystkich. Bo inaczej, jeśli się „coś nie zmieni”, ów postaw czerwonego sukna, Polską zwany, rozkradziony zostanie i poszargany w krótkim czasie na strzępy i już nam żadne dolary nie pomogą.

CZY MARSJANIE SĄ JUŻ WŚRÓD NAS?

REWELACJE
XX WIEKU

W poprzednim numerze podaliśmy szereg faktów, dotyczących pojawiania się w różnych miejscach Ziemi „latających talerzy”. A oto inne fakty z tej dziedziny zebrane przez obserwatorów w czasie „Międzynarodowego dnia obserwacji nieba”.

O najciekawszej obserwacji doniesiono z Nowej Zelandii. Oto pewien tamtejszy zapaleńiec dostrzegł na niebie „cały klucz dziwnych pojazdów, z których każdy składał się z trzech wielkich cygar, trzy razy dłuższych od samolotu”. Pojazdy owe przemknęły podołno spokojnie 600 metrów ponad głową obserwatora.

Część zapaleńców jest świecie przekonana, że „pojazdy wiozą przybyszów z innej planety, którzy zakończyli swe obserwacje Ziemi i przystępują do obecnej do inwazji”.

We wrześniu ub. roku Agencja Reutera podała z Melbourne (Australia), że w stanie Victoria setki ludzi oglądały w nocy dwa latające talerze, olbrzymie czerwone kule z długim ognistym ogonem.

Czerwone kule przeleciały przez niebo i znikły z błyskawiczną szybkością. Obserwatorium astronomiczne podało do wiadomości, że latające talerze były po prostu wybuchającymi meteorami.

Adamski rozmawia z obywatelem wenusjańskim

Jerzy Adamski, Polak z pochodzenia, jest obywatelem amerykańskim i miłośnikiem astronomii. Posiada nawet własne obserwatorium w pobliżu Mount Palomar w Kalifornii, gdzie mieści się największy teleskop świata o średnicy zwierciadła 5 metrów.

Adamski jest entuzjastą latających talerzy. Zbierał przez kilka lat materiały na ten temat i wydał nawet książkę. Poza opisaniami obywateli, Adamski miał szczęście widzieć lądowanie talerza, pochodzącego z planety Wenus, oraz rozmawiać osobiście z mieszkańcem tej planety. Posłuchajmy tej rozmowy i wrażeń Adamskiego, wedle książki Crampa (recenzowanej przez inż. Rychtera w kwietniowym numerze „Horyzontów Techniki”).

„Rozmawiałem, powiada Adamski, jak najlepiej umiałem, z przybyszem z Wenus. Był on wysoki na 5 stóp i 6 cali (przeciętny wzrost ludzki) i ważył zapewne około 135 funtów. Oceniałem go na 28 lat, aczkolwiek mógł być i starszy. Był okragły na twarzy o niezwykle wysokim czole, dobrze rozrośnięty, ale usposobienia spokojnego i miłego...”

Wyciągnął rękę do mnie jakby chciał uścisnąć mi dłoń. Odpowiedziałem mu na nasz ziemski sposób. Ale on cofnął rękę z uśmiechem i lekkim potrząśnięciem głowy...

Skóra jego dłoni była bardzo delikatna, jak u dziecka, ale mocna i ciepła... W innym odzieniu przybysz mógłby uchodzić za niezwykle piękną kobietę, tutaj jednak był zdecydowanie mężczyzną...

Adamski przyznał, że czuł się jak małe dziecko w obecności kogoś obdarzonego dużą wiedzą i wielką miłością. Powiedział też ludzi z Wenus byli przyjaźnie usposobieni dla

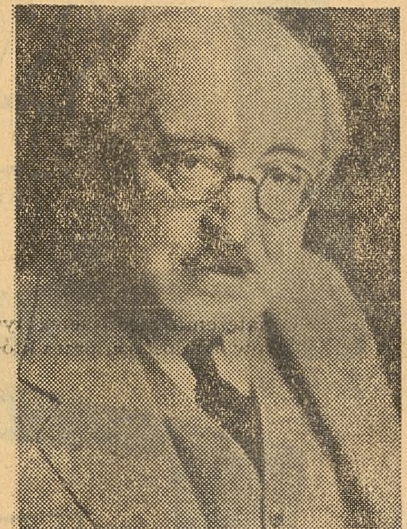
Ziemi i że przybycie na Ziemię związane było z wybuchami atomowymi, powodującymi powstawanie radioaktywnych chmur w przestrzeni międzyplanetarnej.

O zakończeniu spotkania prof. Adamski tak opowiada: Ustawilem aparat fotograficzny i dokonałem zdjęcia talerza. Zapytałem, czy mogę sfotografować mego gościa. Niestety nie zgadzał się na to. Usłyszałem wtedy oszalamiającą wiadomość, że ludzie z innych światów chodzą po drogach na Ziemi. Jeżeli to prawda, to łatwo można zrozumieć jego niechęć do fotografowania się. Było zbyt dużo cech charakterystycznych w jego postaci, na podstawie których, mając fotografię, można by zidentyfikować jego współziomków przebywających na Ziemi.

Zapytałem miłego gościa, czy jako mieszkaniec Ziemi był kiedy zabrany w statek międzyplanetarny? Rozesmiał się serdecznie i dał do zrozumienia, że tak, aczkolwiek wiadać było, że informacji tej udzielał mi niechętnie.

Człowiek z Wenus wszedł następnie do swego latającego spodka i wznosił się w powietrze, pozostawiając prof. Adamskiego, jak się wyraził, w pustce, którą można porównać do pustki po odejściu najbliższych.

O Adamskim jeszcze usłyszymy później. Tutaj warto jedynie, zresztą tylko retorycznie, zapytać Adamskiego, Crampa lub wspomnianego recenzenta, jakim językiem rozmawiał przybysz z Wenus, który „w innym odzieniu mógłby łatwo uchodzić za piękną kobietę”? Czy



Prof. Benedicks

po polsku czy po angielsku? I jak mu się oddycha ziemskim powietrzem złożonym z tlenu i azotu, za pomocą płuc, przyzwyczajonych do trujących gazów atmosfery Wenus?

Należy zaznaczyć, że ludzie z Marsa, którzy ukazali się ze swymi latającymi talerzami innym Ziemiąnom, niezawodnie tego samego pokroju, co Adamski, byli zbudowani całkiem inaczej, niż przeciętny człowiek ziemski o wzroście 5 stóp i 6 cali, ważący około 135 funtów...

Przytoczyliśmy powyżej z kilku źródeł parę wiadomości na temat latających talerzy, może najbardziej charakterystycznych. Z nich najpoważniej wygląda sprawa kapitana Mantella, zakończona tak tragicznie. Posłuchajmy, co o niej mówi uczony.

(Dalszy ciąg na str. 3)

ZDERZENIA

ZASŁAWSKI

„Wielka i udzielająca się jest siła tego święta młodości. Zagłusza ona starce mamrotanie reakcyjnych dyplomatów w Londynie, gniejące postękiwanie w Paryżu, pozagrobowe głosy w Bonn”. (D. Zasławski w „NOWYCH CZASACH”).

Z ŻYCIA KAPITALISTÓW

„I znów, jak rokrocznie, nadszedł gorący czas dla giełdżarzy i dla posiadaczy ciężkich portfeli akcji, a rady nadzorcze i prezesi spółek akcyjnych mają wiele pracy. Wielkie spółki przesyłały w tych tygodniach (miało to miejsce w czerwcu) — swym akcjonariuszom sprawozdania za rok gospodarczy 1956, ogłaszając swe bilanse oraz rachunki zysków i strat za ubiegły rok, zapraszając akcjonariuszy na zwykłe zebrania ogólne. „Każde 100 DM nominalu akcji zapewnia na ogólnym zebraniu 1 głos”. Posiadanie pieniędzy w formie akcji zapewnia przeto tym większe możliwości głosowania, im więcej kapitału np. jakis

millioner zagraniczny włożył w zachodnio-niemieckie akcje, i tym więcej w tych tygodniach przynajmniej głosów na ogólnych zebraniach koncernów w Niemczech zachodnich”. („MILITAER-POLITISCHES FORUM”).

JAKIŚ JOYCE?

„Niedocenianie i lekceważenie własnej literatury prowadzi — zdaniem dyskutanta prof. Kurta Hagera — do tego, że stosuje się te same oceny wobec literatury socjalistycznej, która stara się aktywnie wpływać na porządek społeczny, jak wobec jakiegoś Jamesa Joyce’a czy Faulknera — którzy odzwierciedlają kryzys burżuazyjnego społeczeństwa”. (NEUES DEUTSCHLAND”).

ZŁY UCZEŃ

„Trzeba powiedzieć, że uczeń nie zrozumiał jeszcze treści nauki o walce klasowej, o państwie, o imperializmie, jeśli uważa dzisiaj bazę atomową — zachodnie Niemcy za „niepolityczne” miejsce do spędzenia wakacji, jeśli ocenia charakter państw NATO we-

ług ludzkich enót swoich krewnych i patrzając na neonowe reklamy i wystawy sklepowe zapomina o problemie władzy”. („NEUER WEG”).

PO RAZ PIERWSZY?

„Po raz pierwszy w trzydziestoletniej historii kołchozów radzieckich ich członkowie popierają z całego serca nowe zarządzenia w polityce rolnej”. („JUGOPRES” belgradzki o zniesieniu państwowego systemu dostaw obowiązkowych z dzialek przyzgodowych w ZSRR).

STOPIEŃ IGNORANCJI

„Zdaniem ministra nieważne jest to, iż mają oni (tj. Swinarski i Raniccki — przyp. red.) niemało do powiedzenia w sprawach polskiej polityki kulturalnej, oraz że kontakt z tymi pisarzami mógłby przyczynić się, być może, do przezwyciężenia pewnych sprzeczności niemiecko-polskich. Wszystkie te argumenty mają być — zdaniem ministra — nieważne i nieistotne. Nawet policjantom w Monachium nie przypisywalibyśmy takiego

stopnia ignorancji, tym bardziej zaś ministrowi spraw wewnętrznych” („DIE WELT” w sprawie odmowy udzielenia pisarzom polskim wiz do NRF).

BEZ AMUNICJI?

„Gdyby Indie wciągnięte zostały do wojny, to przy stosunkowo niskim stopniu rozwoju rodzimego przemysłu zbrojeniowego armia indyjska w ciągu kilku dni znalazłaby się bez amunicji”. („AGENCE FRANCE PRESS”).

SYMPATIA

„Ich (Rosjan) zachowanie się świadczy o tym, że żywią oni wielką sympatię dla młodzieży całego świata. Mogę powiedzieć nawet więcej — gdy staliśmy na stadionie Chruszczow odniósł się do nas jak ojciec”. („SO-WIETSKAJA ROSSJA” z artykułu członka amerykańskiej delegacji na Festiwal, Federera).

ZDERZENIA

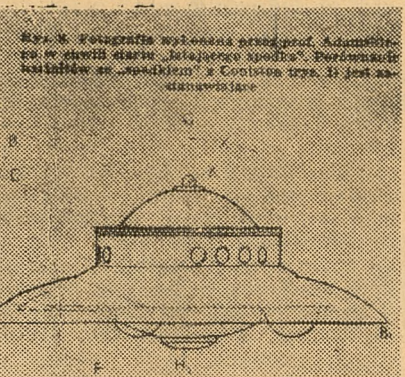
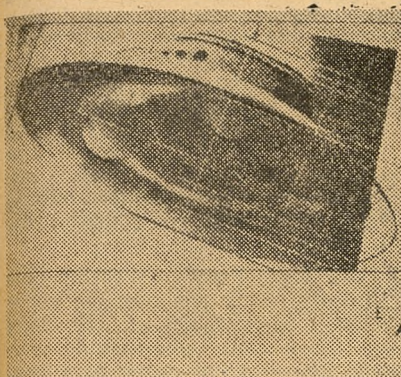
CZY MARSJANIE są już wśród nas

GŁOS MA
PROF. BENEDICKS

Zanim posłuchamy jego wywodów, zapoznajmy się z tą osobistością, całkiem różną od „profesora” A. Adamskiego. Dr Carl Benedicks (ur. w r. 1875) jest Szwedem. Do niedawna był profesorem chemii fizycznej

czyli kula gazowa, powstała przez uderzenie pioruna.

Niewielkie kule piorunowe są dość częstym zjawiskiem. Wpadają one nieraz do mieszkań przez otwarte okna. Wiatr czy przeciąg może kierować je z miejsca na miejsce. Gdy temperatura kuli obniży się poniżej



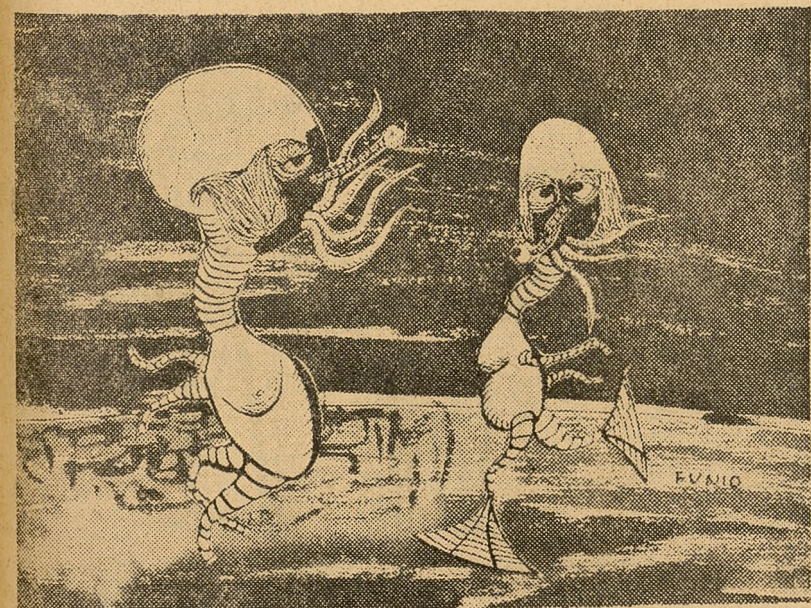
na uniwersytecie w Sztokholmie. Z powodu podeszłego wieku dziś jest na emeryturze. Posiada złoty medal fundacji Carnegie, nagrodę Henry Wild, medal Bessemiera, Prix Bequerel, order legii honorowej. Jest członkiem Polskiej Akademii Technicznej (po wojnie nie reaktywowanej), komandorem orderu Polonia Restituta i doktorem nauk technicznych honoris causa Akademii Górniczej w Krakowie.

Promował go do tej godności prof. Aleksander Krupkowski słynny polski metalurg i prof. dzisiejszej Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Jak widzimy, Benedicks łączy z Polską ścisłe więzy. Posiada poważne zasługi dla polskiego hutnictwa. Prof. Benedicks — to nie mit, ale rzeczywistość i znana także w Polsce a zwłaszcza w Krakowie osobistość.

Uczony ten jest twórcą ciekawej i interesującej hipotezy naukowej na temat pioruna kulistego, ściśle mówiąc „kuli piorunowej”. Choć to wygląda na pozór jak „masło maślane”, to jednakże, jak zaraz usłyszymy, sprawa ma się inaczej.

Piorun jest wyładowaniem elektrycznym albo między dwoma chmurami lub chmurą a ziemią. Między tymi obiektami musi istnieć różnica napięcia wielu milionów woltów. Iskrę pioruna stanowi strumień elektronów, o natężeniu rzędu setek tysięcy amperów. Atmosfera, przez którą przebiega piorun, jest wypełniona reguły dużą ilością pary wodnej. Gdy przez nią przebiega iskra pioruna, czyli właściwie bardzo mocny prąd elektryczny, następuje zjawisko elektrolizy. Drobiny pary wodnej rozpadają się na swe składniki, tj. gazy wodoru i tlen, posiadające temperaturę kilku tysięcy stopni Celsjusza. Błysk, jaki widzimy podczas błyskawicy pochodzi właśnie od tych rozpalonych do białości gazów, które chwilę przedtem były — wodą.

Błyskawice są na ogół długie na kilkadziesiąt kilometrów. Średnica „rury” w powietrzu, przez którą przebiega wyładowanie, wynosi nie więcej niż kilkadziesiąt centymetrów. Skutkiem elektrolizy powstaje ogromna ilość gazu nazwijmy go, tlenowodoru, który czasami rozpada się w drobne kulki (błyskawice „paciorunkowe”) a te z kolei łączą się we większe kule świecących rozpalonych gazów. Tak powstaje piorun kulisty. Ale, jak mówi Benedicks, nazwa ta jest nieścisła. Kule te nie mają już nic wspólnego z piorunem czy błyskawicą. Bo są to już tylko kule złożone z rozpalonych do białości gazów, nie mających ładunku elektrycznego. Stąd uzasadnienie nazwy „kula piorunowa” (po ang. „lightning ball”)



Rys. FUNIO

3500 stopni (temperatura dysocjacji), następuje „spalenie” wodoru z tlenem, czyli połączenie się z powrotem na wodę, przy równoczesnym wydzielaniu ogromnych ilości ciepła.

Zdaniem Benedicksa — kapitan Mantell ścigał właśnie olbrzymią kulę piorunową o średnicy około 150 metrów. Podczas pościgu i lotnik i piorun zapędzili się gdzieś w jakąś śniegową chmurę (był to styczeń!), gdzie kula ochłodziła się, a to wywołało spalenie się wielu ton tlenowodoru z wydzielaniem ogromnej ilości ciepła, które niemal bez śladu zniszczyło samolot i lotnika.

STOPA W PANTOFELKU I SPRĘŻYNA FOTELOWA

Jako dowód niszczącej mocy wielkiego pioruna kulistego prof. Benedicks cytuje następujące zdarzenie, zapisane w annałach medycyny sądowej Stanów Zjednoczonych. Przypadek ten zdarzył się w miejscowości St. Petersburg (w stanie Floryda, USA) rankiem dnia 2. lipca 1951 roku. W nocy była silna burza z piorunami i błyskawicami. Floryda ma klimat bardzo ciepły, i burze i ulewę osiągały tam rozmiary, u nas nieznanne.

Niewiasta, nazwiskiem Mary Reeser, wstała wcześniej rano i usiadła przy otwartym oknie, w fotelu, obserwując oddalającą się burzę.

Gdy za jakiś czas sasiadka przyszyła w odwiedziny do swej znajomej, zastała pokój pusty. Zniknął fotel wraz z właścicielką! W kącie pokoju o osmolonych ścianach znaleziono stopę właścicielki w czarnym pantofelku i jedną sprężynę z wyścielonego fotela. Reszta znikła — po prostu wyparowała, gdy do pokoju dostała się przez okno wielka kula piorunowa, której piórnienie podczas wybuchu objęły fotel i jego właścicielkę.

Podobnych przypadków notują kroniki sądowe w Stanach Zjednoczonych znacznie więcej, niż gdzie indziej. „Nasze” pioruny kuliste są wielkości pomarańczy lub najwyżej piłki nożnej, a gdy wpadną do pokoju i wybuchną, narobią więcej strachu, niż szkody, jak o tym świadczą następujące opowiadanie p. dr. Ireny Kocyan, zamieszczone w budynku Krakowskiego Obserwatorium Astronomicznego. Budynek ten, jak mówi informatorka, jest dość „ulubiony” przez pioruny.

Parę lat temu piorun kulisty o średnicy kilkunastu centymetrów uderzył o bramę wejściową, rozbił się na dwie mniejsze kule, a z nich mniejsza uniosła się w górę i wpadła przez otwarte okno do pokoju, w którym znajdowała się dr. Kocyan.

(Ciąg dalszy na str. 4)

PROCESY

Dziennikarz parający się z tzw. „sądówkami” nie może w Polsce narzekać na brak roboty. Geografia już szerokie kregi. Bukowina miała s w o j e g o Bojaśa, Wołomin — Króla, Lublin — Gorzela... wylizać można by jeszcze długo. Bez względu jednak na ponurość tych procesów, na ich głęboko przysięgające, pesymistyczne tło społeczne — zawsze przynoszą obserwatorowi moment pewnego odprężenia. Jest w nich bowiem niewątpliwa, ostro zarysowana granica między przestępcą a jego zapleczem, a wielka siła, której na imię władza, sprawiedliwość, praworządność. Ludzi na ławie oskarżonych od ludzi w milicyjnych mundurach, którzy ich ujeli, dochodzili winy, pilnują o bliczu sądu i kary — dzieli świat przeciwnych pojęć tak od siebie dalekich, jak dalekie jest przestępstwo od głosu etyki i sumienia. Oskarża człowiek, który w surowości swoich dochodzeń i żądań kieruje się wysoką troską o ład społeczny, o bezpieczeństwo ogółu. Sądzą w imieniu Rzeczypospolitej podług swej niezależnej, najlepszej woli ci, którzy w danej chwili reprezentują majestat największy: prawo. Wstajemy kiedy wchodzą na salę sądową, wyprostowani słuchamy ich wyroku. Umowny symbol? Nie tylko. Wówczas przecież ze szczególną wyrazistością konkretyzuje się w myśli suma naszkicowanych przez mnie odkryć.

ZMIANA RÓL

...A teraz Kraków ma s w o j e g o Hartmana, sądnego w odległych o blisko 100 km Katowicach czyż nie po to, aby i ten Sąd — był sądem p r a d z i w y m?

Proces dopiero się rozpoczął, nie wiadomo jakie zaskoczenia z sobą przyniesie. Trudno raczej zapewnić, że akt oskarżenia już a priori zapowiadał w s z y s t k o. Cztery lub sześć tygodni to doświadczenie ewentualne smutniejsze jeszcze od faktów już poznanych niespodzianki. Jak przynajmniej ten proces społeczeństwo? Czy z rozprawy przeciw skompromitowanemu krakowskiemu przedstawicielowi wymiaru sprawiedliwości nie będzie wyciągnąć uogólnień idących zbyt daleko?

Ostatecznie na ławie oskarżonych zasiadli — po raz drugi w wieloletniej historii sądownictwa polskiego — prokuratorzy, wysoki funkcjonariusz śledczy, milijanci. Miał się o bok nich znaleźć sędzia, lecz uchronił go od tego zaopiniowany przez psychiatrów rozstrój nerwowy. Wszyscy odpowiadają nie za czyny popełnione (chciałoby się powiedzieć) prywatnie, z pobudek emocjonalnych czy w afekcie — lecz za wielokrotne i wieloletnie, chłodne, przemyślane b e z p r a w i e. Sprawiedliwość w ich rękach była więcej niż fikcją: dawali bezkarność, biorąc tysiące. Cenę przestępstwa rozważało się w knajpach, cukierkach, w zacisznych pokojkach. Krzywą śledztwa regulował pieniądź, drzwi więzienia otwierał pieniądź. Wyrok dyktował — pieniądź. Pięćdziesiąt sześć spraw o kradzieże, spekulacje, pobicia, kandy gospodarcze, manka, paserstwo, łapówki, kombinacje z dolarami, czarnorynkową inicjatywę — miał załatwić Hartman z do b i e r a n y m i z a l e ż n i e o d o k o l i c z n o ś c i w s p ó l n i k a m i. Ich nazwiska zmieniają się w akcie oskarżenia — jego — występuje stale. Kim jest Władysław Hartman?

SS-MAN — PROKURATOR POLSKI

Ma 48 lat, urodził się i mieszkał w Krakowie. Szczupły blondyn o czujnej, opanowanej twarzy. Podobno choruje na płucą.

Po wkroczeniu Niemców do Krakowa — z r e z y g n o w a ł z n a r o d o w o ś c i p o l s k i e j, w policji zwanej „Schutzmannschaftbatalion 202” pracował nad wyniszczeniem partyzantów, jako członek „SS” podjął się działalności kontrwywiadowczej. Zdemaskowanie przez AK nie przekreśliło jego późniejszej kariery. Od wiosny 1945 r. Hartman, n a p o w r a t Polak, jest milicjantem. Zapisuje się do PPS, z czasem do PZPR. Przeniesiony do KBW — otrzymuje stopień podporucznika, pełni funkcję oficera śledczego. Prawdziwie zawrotny awans Hartmana datuje się jednak dopiero od roku 1948. R o c z n a s z k o l a p r a w n i c z a w y s t a r c z a ł a, aby w 1950 r. mianowano go Prokuratorem Okręgowym w Krakowie, później Prokuratorem Wojewódzkim w Kielcach.

SZANTAŻ

Adam Urasiński, ówczesny Prokurator Miasta i Powiatu Krakowskie,

go, był z Hartmanem na stopie koleżeńskej, mówili sobie po imieniu. Hartman umiał się asekurować. Obiecał pieniądze, ale i uprzedził:

— Jestem starym pracownikiem prokuratorskim, jestem sekretarzem POP PZPR. Jeżeli zawiadomisz kogokolwiek o propozycjach jakie ci stawiam — zaprzeczę i uwierzę nie tobie, lecz mnie. Tyle zyskasz, że narazisz się przelożonym za rzucanie oszczerstw na zasłużonego i zaufanego człowieka...

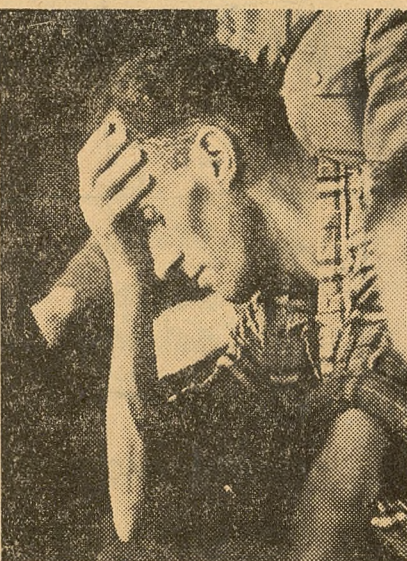
HARTMAN

Tekst:

ANNA STROŃSKA

Zdjęcia:

ANDRZEJ PIOTROWSKI



Urasiński uległ. Rodziny zatrzymanych i podejranych przynosiły o k u p, areszt tymczasowy uchylał. Wprawdzie przy jednej ze spraw zainteresowany bezpośrednio prokurator Wesper odnotował na kopii nakazu zwolnienia, że areszt uchylił z polecenia Hartmana — i ex-SS-ma, na z Prokuratury wydano w 1952 roku, ale była kara jedyna. Hartman został na wolności, została też aktualność szantażu. Urasiński chcąc uniknąć losu współnika — musiał być k o n s e k w e n t n y.

SZARA EMINENCJA

Znajomości przetrwały dymisję. Hartman — już nie prokurator — decydował o dziesiątkach spraw aresztowych. Skromny radca prawny Wytwórni Sprzętu Medycznego zamieszkały przy zacisznej ul. Karłowicza, stał się przy pomocy swojej agencji ludzi skorumpowanych — jedną z największych potęg Krakowa: sprzedawał przecież wolność.

Hartman dyrygował, instruował, zarabiał oczywiście najwięcej. Z a ł a t w i a ł i? W Sądzie Powiatowym dla m. Krakowa — sędzia Ju-

lian Żuławiński. W milicji — naczelnik wydziału śledczego Komendy Wojewódzkiej MO Józef Drożdż, oficer śledczy Zdzisław Walczak, zastępca komendanta II Posterunku MO Władysław Buchta, funkcjonariusz Marian Kamiński. Funkcję n a g a n i a c z a p r y j a ł z a p r z y j a n i c z y z Hartmanem Julian Chachowski, dyspozytor Ekspozytury PKS. Ten mieszkaniec Płasków Wielkich pod Krakowem miał rozległe kontakty ze specyficznym światkiem l u d z i i n t e r e s u, nałogowo popadających w konflikt z prawem. „Pod Złotą Rybką”, u „Noworola”, w cukierence przy ul. Boh. Stalina, w mieszkaniach prywatnych odbijano transakcje za sumy, uzależnione ciężarem gatunkowym sprawy. Po Hartmanie — właśnie Chachowski akt oskarżenia obciąża najwięcej.

WINA I CENA

Franciszek Rusek, inspektor MHD, z a o p i e k o w a ł się gotówką z przeprowadzanego przez siebie remontu. Zona Ruska za 20 tys. wykupiła go od obozu pracy.

Za 15 tys. — wyszedł z aresztu pokątny handlarz mięsem, Seweryn. Pasera Pawła Gajdę wolność kosztowała 10 tysięcy, chuligana Ziętare — 7 tysięcy. Również i krakowski milioner „król skóry” Władysław Dziadoń w 1953 roku (wtedy jeszcze o niepoczytalności mowy nie było) kupił umorzenie sprawy za 150 tysięcy...

SPOSOBY

Hartman potrafił być wyrozumiały: jeśli petent nie dysponował w danej chwili wystarczającym zapasem gotówki brał w zastaw biżuterię. Ze zaś czasem nie oddawał bransoletek i pierścionków mimo wyrównania długu — to już, jak p o w i a d a Kipling, całkiem inna historia... Niechętnie również zwracał za liczkę, jeśli zdarzyło się, że interwencja nie odniosła skutku.

Skąd inąd doprowadził do perfekcji swój talent szantażysty. Oto drobny przykład:

We wrześniu 1955 r. Stefan Rogoda i Antoni Śmiełek transportowali furmanką mięso końskie, nie badane przez weterynarza. Zatrzymani przez milicję — zbiegli, i ukrywając się prowadzili z Hartmanem pertraktacje. Padła cena: 40 tysięcy. Śmiełek ociągał się z wypłaconiem swojej połowy, wobec czego Hartman spowodował jego aresztowanie w trakcie wyznaczonych u „Hawelki” spotkań. Kiedy z koleżoną Śmiełka podjęła rozmowę u g o d o w e, Hartman żądał już 25 tysięcy...

A przecież to dopiero c z a s t k a prawdy, która dzień po dniu rekonstruuje trwającą rozprawę.

Hartman znowu z m i e n i ł n a r o d o w o ś c. Już w wyjaśnieniach wstępnych oświadczył przed sądem, że uważa się za Niemca. Powiedział także:

— Przysięgam się do czynów zabronionych polską ustawą — nie przysięgam się do winy!

ANNA STROŃSKA

Okienko problemów aktualnych

Zbiory Biblioteki Narodowej zagrożone

Obeena krytyczna sytuacja, w jakiej znajdują się zbiory Biblioteki Narodowej w Warszawie budzi tym większe oburzenie, im dokładniej sobie przypominamy — a chyba nie powinniśmy zapominać — jakie skarby piśmiennictwa polskiego poszły w Warszawie „z dymem pożarów” w 1939 roku i w czasie Powstania Warszawskiego. A to co ocalało z dorobku kulturalnego narodu polskiego, z jak wielkimi połączone było nieraz ofiarami. Jakże często ratowaliśmy w czasie powstania od kul i ognia przede wszystkim książki... Dziś ta reszta spuścizny narodowej zagrożona jest zniszczeniem w dwadzieścia lat po wojnie — bo w odbudowanej Stolicy wśród tysięcy „biurowców” wzniesionych po 1945 roku i innych urzędowych gmachów nie tylko nie zbudowano dotąd gmachu dla Biblioteki Narodowej, ale nawet nie sposób wywalczyć dla jej zbiorów, czy placówek naukowych odpowiednich lokali w istniejących budynkach.

A czymże jest Biblioteka Narodowa, jak nie centralną biblioteką kraju, liczącą około 1,500.000 woluminów, druków zwartych i zbiorów specjalnych a zatrudniającą 400 pracowników. (Przed wojną miała ich 70). Poza tym statut z 1954 roku nadał jej charakter instytucji naukowo-badawczego w zakresie szeroko pojętej nauki o k s i ą z k e. Składa się ona z Książnicy, Instytutu Bibliograficznego, Instytutu Książki i Czytel-

nictwa oraz takich agend o zasięgu ogólnopolskim, jak Stacja Mikrofilmowa i Biuro Międzynarodowej Wymiany Wydawnictw. Książnica prowadzi szereg prac o zasięgu ogólnokrajowym. Biblioteka pełni m. in. rolę centrali wypożyczeń międzynarodowych. Zakład informacji naukowej jest centralnym ośrodkiem informacyjnym dla nauk humanistycznych, a Instytut Bibliograficzny — ogólnokrajową centralą bibliograficzną, m. in. publikującą narodową bibliografię bieżącą Biuro Międzynarodowej Wymiany Wydawnictw utrzymuje kontakty wymienne ze 111 krajami, pośrednicząc w wymianie wydawnictw między naukowymi instytucjami polskimi, a zagranicznymi. Sprawa ta interesuje nas wszystkich — całe społeczeństwo — i kategoricznie domagamy się: 1) ustalenia n a r e z c i e l o k a l i z a c j i p r z y s z e g o n a j n o w o c z e ś n i e j p o m y ś l a n e g o g m a c h u B i b l i o t e k i N a r o d o w e j w W a r s z a w i e, 2) r o z p i s a n i a w i e l k i e g o m i ę d z y n a r o d o w e g o k o n k u r s u, d o k t ę g o z a p r o s i ł o b y się największych architektów światowych, nie mamy bowiem gotowych wzorów nowoczesnych bibliotek narodowych, 3) D o c z a s u w z n i e s i e n i a t a k i e g o g m a c h u s t w o r z e n i e d l a w a r s z a w s k i e j B i b l i o t e k i N a r o d o w e j m o ż l i w i e j a k n a j w ł a ś c i w s z y b k i e w a r u n k ó w l o k a l o w y c h. P l a c ó w k a t a m u ś i e m i e ć p e ł n e m o ż l i w o ś c i r o z w o j u — a n a d z a b e z p i e c z e n i e m j e j z b i o r ó w c z u w a ć w i n i e n c a ł y n a r ó d.

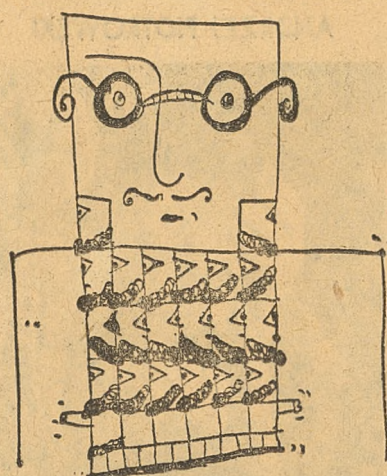
JESZCZE O STARZENIU SIĘ

Dla każdego z przyrodników zagadnienie starzenia i odmładzania organizmu jest tym problemem, który należy rozpatrywać przede wszystkim z punktu widzenia biologii. Starzenie organizmu ludzkiego, zajmujące tak żywo ogół, nie da się oddzielić od ogólnych zjawisk biologicznych i dlatego ten konkretny przypadek, jakim jest starzenie człowieka, nie może być w pełni zrozumiałe, jeżeli nasze rozumowanie zawężymy wyłącznie tylko do naszego gatunku. Niech to usprawiedliwi te kilka ogólnych uwag, które mogą zainteresować Czytelników w związku z podanymi w prasie wynikami badań rumuńskich autorów nad starzeniem i odmładzaniem.

Wśród organizmów wyższych każdy osobnik wykazuje charakterystyczną historię życia. Rozpoczyna się ona z chwilą zapłodnienia jaja. Zapłodnione jajo zaczyna się rozwijać, wytwarza młodego osobnika, który wzrasta, dojrzewa, rozmnaża się, starzeje i w końcu ginie. Taka jest normalna historia życia osobnika czyli jego ontogeneza, lub rozwój osobniczy. Ontogeneza jest jednym, ciągłym pasmem zmian, które przebiegają szybciej lub wolniej, lecz które nigdy nie ustają w ciągu całego życia tj. od zapłodnienia aż do śmierci osobnika. Gdy starzejący się organizm ostatecznie obumiera pozostawia zwłoki, które ulegają rozkładowi i które są widomym znakiem kresu ontogenezy. Ponieważ organizmy w okresie swej dojrzałości rozróżniają się, wydają potomstwo, które znowu z kolei będzie wytwarzać następne pokolenie, utrzymywana zostaje ciągłość życia, mimo śmiertelności poszczególnych osobników. W ciele osobnika skazanym na nieuchronną śmierć tylko komórki rozrodcze, jak i te, z których one powstają, zachowują swą młodość i możemy je uważać za potencjalnie nieśmiertelne. W jaki jednak sposób komórki rozrodcze unikają starzenia, tego nie wiemy.

Nie wszystkie jednak organizmy czeka śmierć i nie wszystkie organizmy utrzymują ciągłość życia wyłącznie tylko za pośrednictwem komórek rozrodczych. U jednokomórkowych zwierząt i roślin nie dostrzegamy zwłok macierzystego ustroju. Gdy np. pełzak wzrośnie do odpowiednich rozmiarów, dzieli się na dwa osobniki, które z kolei znowu się podzielią po pewnym czasie i to zjawisko powtarza się stale. U organizmów tych nie ma starzenia i nie ma śmierci, chyba że nieodpowiednie warunki życia spowodują

ich śmierć. Śmierć jednak nie jest u nich koniecznym następstwem życia, gdyż chociaż osobnik dzieląc się na dwa, przestaje właściwie istnieć, jako dawny osobnik, lecz jego ciało przechodzi bez reszty w ciało organizmów potomnych. Nie pozostają po nim zwłoki, które uważamy za nieuchronny atrybut śmierci. Lecz co więcej, przekonano się, że pewne niżej zorganizowane zwierzęta wielokomórkowe, jak np. niektóre robaki mogą przez dziesiątki lat rozmnażać się w dogodnych warunkach wyłącznie przez podziały ciała i nie ujawniać żadnych objawów starzenia. Wykazano następnie, że hodując poza ustrojem cząstki tkanek np. tkankę serca kurcząt, możemy tkankę tę hodować nieograniczenie długo, o ile tylko przeszczepiamy



Rys. ADAM MACEDOŃSKI

jej części na ciągle nowe pożywki. W ten sposób hoduje się tkanki zarodka kurcząt od kilkudziesięciu lat a komórki ich nie zmniejszyły w najmniejszym stopniu tempa swoich podziałów. Gdyby jednak tkanki te pozostały w naturalnych dla siebie warunkach tj. w organizmie, z którego zostały pobrane, uległyby one wraz z nim starzeniu się i śmierci.

Dochodzimy więc do wniosku, że starzenie i śmierć nie są nieodłącznymi towarzyszami życia, że nie należy uważać je za zjawiska pierwotne, lecz za wtórne, które rozwinęły się ewolucyjnie, gdyż posiadają dla życia szczególne znaczenie biologiczne. Zapytajmy jakie? Rozród płciowy i pojawiające się nagle zmiany dziedziczne, zwane mutacjami, warunkują wielką różnorodność dziedziczną potomstwa a tym samym różnorodność jego cech i właściwości. Im zaś osobniki jakiejś grupy zwierząt lub roślin są różnorodniejsze, tym łatwiej mogą niektóre z nich przystosować się do zmieniających się warunków otoczenia, tym łatwiej opanowują nowe

tereny. Ten proces zmienności prowadzi z czasem do wytworzenia się nowych ras i odmian a wreszcie do powstania nowych gatunków. Zrozumiałą jest rzecz, że pozostawanie przy życiu ogółu osobników obdarzonych potencjalną nieśmiertelnością było by uciążliwym balastem na drodze ciągłego postępu i rozwoju istot żywych. Tak więc biologiczne racje doprowadziły do powstania zjawisk starzenia i śmierci. Lecz z chwilą gdy pojawiła się starość i śmierć, są one już nieodłącznymi towarzyszami życia, utrwalonymi na stałe dzięki dziedziczności.

Biorąc pod uwagę nasze bardzo ograniczone wiadomości o istocie procesów starzenia komórek, o biochemicznych zmianach w tym czasie i pamiętając, że starzenie obejmuje cały właściwy organizm, mało szans rokuja próby odkrycia obecnie radykalnego środka, który by pozwolił

NAUKA

nie tylko na zahamowanie biegu zmian starczych ale i na ich cofanie. W każdym razie zalecona jest wielka ostrożność przed stosowaniem i propagowaniem nowych metod, które nie zostały jeszcze wielokrotnie i wszechstronnie badane w wielu różnych pracowniach naukowych. Nie znając oryginalnych prac badaczy rumuńskich nie mogę oczywiście ocenić ich wyników. Wydaje mi się jednak, że zbyt entuzjastycznie należy uważać za nieco przedczesny.

Pewien sceptycyzm w tym względzie nie powinien przesłaniać nam wielu poważnych osiągnięć nauki na polu gerontologii, czyli nauki zajmującej się procesami starzenia. Wysiłki uczonych idą głównie w kierunku zmniejszenia dolegliwości towarzyszących zazwyczaj starości, jak i w kierunku przedłużenia życia. Na tym polu osiągnięto już wiele, a badania zoologa Goetscha nad przedłużeniem życia owadów dały bardzo ciekawe wyniki, które mogą stać się punktem wyjścia do dalszych poszukiwań. O ile jednak możemy już w pewnych wypadkach regulować z powodzeniem tempo życia, o tyle trudniej jest odwrócić bieg procesów życiowych. Dlatego też niewątpliwie szybciej naukowcy się opóźniają objawy starzenia, niż odmładzać organizm. Lecz i w tym wypadku nie możemy rezygnować z prób i doświadczeń. Nowsze badania nad procesami odwracania utraczonych części u zwierząt wykazały, że wówczas zachodzi jakby odmłodzenie komórek odwracającej się części. Dzieląc się intensywnie komórki nabywają właściwości komórek młodego organizmu, a przecież pobudzenie podziałów komórkowych jest w zasadzie rzeczą możliwą. Komórki dzieląc się intensywnie unikają starzenia. Fakty te otwierają nowe drogi w badaniach gerontologicznych. Rozwój zaś teoretycznej gerontologii warunkuje postępy praktycznej działalności w tej dziedzinie.

STANISŁAW SKOWRON

mieszkańców USA, poważne kwoty przez sprzedaż nainnych i nieodpowiedzialnych, a rzekomo najprawdziwszych opowieści. Talerze, cygara, kule i inne latające przedmioty, mieszkańcy Wenus, Marsa i innych ciał niebieskich, chcą najażdż na Ziemię, prowadzenie wywiadu za pomocą latających talerzy, które mają być jakby szalupami wielkich statków przestrzynnych bujących w znaczniejszej odległości od Ziemi, „promienie śmierci” itp. — oto treść opowiadań sensacyjnych autorów, podobnych do „profesora” Adamskiego.

Jednakże Oberth przyjmuje, że około 8 proc. przypadków obserwowanych talerzy wskazuje na niewątpliwą rękę ludzką w budowie takich pojazdów. Nie wiadomo, czy USA czy też może ZSRR są twórcami tych niezwykłych wehikułów, zdających się poruszać w przestrzeni na zasadach innych praw mechaniki, niż ruch odrzutowy.

Stany Zjednoczone kilkakrotnie przy różnych okazjach dementowały w urzędowej formie, że nie budowały i nie budują ani nie czynią prób w zakresie pojazdów, które ostatnio określa się skrótem UFO (Unknown Flying Objects — nieznanne latające przedmioty).

Oberth uważa hipotezę Benedicksa na temat kul piorunowych jako źródła powstania wersji o latających talerzach za nieprzekonywującą w tak wielkiej ilości przypadków. Istnieje bowiem pytanie, skąd nagle po ostatniej wojnie pojawiły się na świecie tyle wielkich kulistych piorunów?

Należy podkreślić, że latające talerze widzialne były w różnych miejscach podczas ostatniej wojny nad terenami nią objętymi, a także podczas wojny w Korei. Wspominaliśmy już o tym, że wiele przypadków obserwacji talerzy w USA zachodziło

CZY TELEWIZJA SKORZYSTA ZE SZTUCZNYCH KSIĘŻYCÓW?

Myślałby kto, że jak tylko mowa o kłopotach z rozwojem telewizji, to zaraz przy tej sposobności musi paść słowo Polska, która, jak wiadomo, ani rusz nie może wyjść w tej dziedzinie z wieku niemolecego. A tymczasem jak każdy okres w życiu człowieka przynosi mu z sobą nowe odrębne kłopoty i problemy, tak samo i telewizja nawet w krajach, w których poczyniła największe postępy, nasuwa wciąż nowe problemy i trudności. Oto wciąż nie wiadomo na przykład, jak zwiększyć skutecznie zasięg telewizyjnych stacji nadawczych. A jest on w porównaniu z zasięgiem normalnych stacji radiowych bardzo ograniczony, gdyż równa się mniej więcej promieniowi widoczności, wskutek tego że radiowe fale ultrakrótkie służące do przesyłania obrazów telewizyjnych rozchodzą się po linii prostej. Trudno, wypukłości Ziemi nie da się usunąć, a budowa tzw. stacji przekątnikowych, które zwiększają zasięg odbioru obrazów telewizyjnych, jest bardzo kosztowna, a stosunkowo mało efektywna.

Czy nie ma na to rady? — głowią się specjaliści. W praktyce istotnie jeszcze nie ma, ale za to w teorii coraz więcej przybiera koncepcji i pomysłów, jak przełamać tę barierę.

Za punkt wyjścia służy tutaj fakt, że owe fale ultrakrótkie odbite od jakiegokolwiek przedmiotu, w dalszym ciągu rozchodzą się po liniach prostych.

No więc — a gdyby tak mogły odbijać się od księżycy, byłoby to wspaniałe rozwiązanie, roi się po głowach naukowcom, — zasięg sta-

cji telewizyjnej objąłby od razu aż jedną półkulę Ziemi.

Ale znowu... właśnie i tu jest „ale”, wcale nie bagatelne w postaci 384 tys. km odległości Księżyca od Ziemi. Na jej pokonanie trzeba by stacji telewizyjnych o wręcz gigantycznej mocy. Nie oplaca się skórka za wyprawę. A więc Księżyc na razie odpada, jako instrument rozwoju telewizji bo jest za daleko. Jednak nie straconego — przyszłość na myśl prof. RP Havilandowi z Filadelfii, pracującemu nad zagadnieniem sztucznych satelitów. Przecież te sztuczne księżyce będą o wiele, o wiele bliżej, na przykład w odległości 6.300 km od Ziemi i one właśnie mogłyby doskonale odbijać fale ultrakrótkie — pomyślał ów profesor.

Tak powstał pierwszy realny projekt uczynienia wielkiego skoku w rozwoju telewizji, zaś prof. Haviland do tego stopnia zapalił się do swego projektu, iż pełną parą pracuje teraz nad jego urzeczywistnieniem.

Już niedługo odbędą się pierwsze próby. Co prawda na razie jeszcze nie z satelitami, a z pociskami wyrzucanymi w przestrzeń, które posłużyłyby m. in. jako przedmioty, od których odbijać się będą fale ultrakrótkie. Skoro tylko zaczną wołować ziemi krażyć pierwsze sztuczne księżyce, rzecz jasna próby te wejdą w decydującą fazę.

A co z tego wyniknie? Trudno byłoby już w tej chwili przesądzać tę kwestię, lecz na pewno już niedługo o tym się dowiemy.

NAIWNIA JEDNOSTRONNOŚĆ GENIUSZÓW

Ernest Jones, znany londyński psychoanalityk, autor oszerej biografii Freuda, próbuje w artykule poświęconym stuleciu urodzin swego mistrza rzucić nowe światło na istotę geniuszu.

Zasadniczą cechą genialnego umysłu jest według niego sceptycyzm. Zupełna niezależność od obcych sądów, przyjętych praw i autorytetów tych też daje wolne pole do spekulacji i poszukiwań. Klasykiem tego przykładem może być Descartes, który zaczyna od zwątpienia we wszystko.

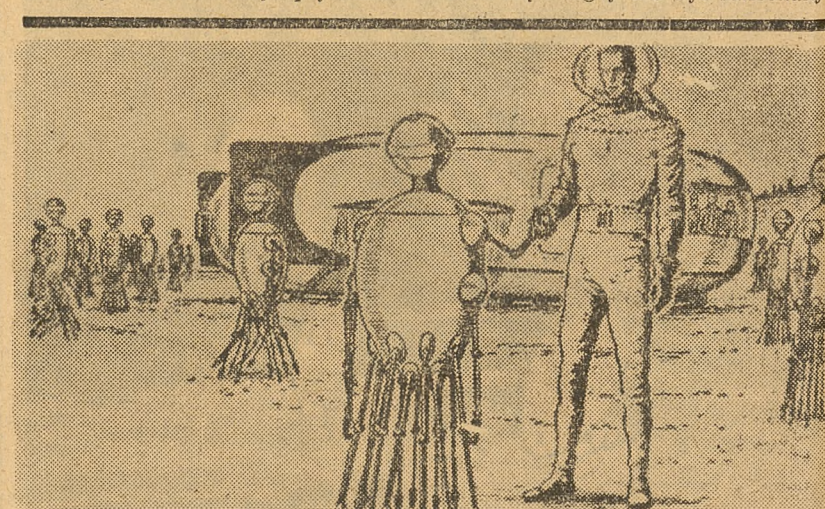
Freud zapytany raz przez Jonesa, co sądzi o źródle tej absolutnie wolnej myśli pionierów nauki, stwierdził, że tego rodzaju niezależność okupowana jest zawsze jakimś zahamowaniem w innym kierunku myślenia. Jones ilustruje ten pogląd kilkoma ciekawymi spostrzeżeniami na temat naiwności niektórych uczonych w stosunku do pewnych spraw przy równoczesnym genialnym wręcz ujmowaniu innych zagadnień.

Jednym z tych przykładów ma być sam Freud, którego cechowała niesłychana łatwowierność. Jones widzi w tym jego rysie źródło znacznej trudności Freuda w określeniu charakteru ludzi, która jest właściwie zaskakująca u twórcy psychoanalizy. Freud przyjmował za dobrą monetę liczne opowiadania swoich pacjentek o uwiedzeniach, które większość lekarzy uważałoby od razu za historyczne fantazje. Freud był bardzo zawiedziony, kiedy się przekonał, że były to w ogromnej większości wymysły, lecz okazało się, że był to krok naprzód ku jednemu z najbardziej ważkich odkryć psychoana-

lizy: znaczenia kazirodczych popełnień w dzieciństwie.

Niemniej interesujące są uwagi Jonesa na temat tej jednostronnej naiwności u Newtona. Newton był w zasadzie niesłychanie obiektywny — on to jest autorem sławnego powiedzenia: „hypotheses non fingo” (nie fałszuję hipotez) — a jednak ten genialny fizyk tracił w młodości mnóstwo czasu na bezowocne doświadczenia alchemiczne i to właśnie już w czasach zmierzchu alchemii. Przez całe swe życie Newton uważał się bardziej za teologa niż za fizyka, a co więcej, jego teologię charakteryzowała skrajna bigoteria i surowość. Różnica między jego bezwzględna wiarą w dosłowne znaczenie każdego słowa Starego Testamentu a sceptycyzm z jakim traktował Nowy Testament, jest zadziwiająca. Przyjawszy za biskupem Usherem rok 4004 przed n.e. jako datę początku świata, strawił całe lata nad ułożeniem chronologicznej historii wszystkich narodów, dochodząc do wręcz fantastycznych konkluzji. Ze szczególnym upodobaniem zagłębiał się w zgamawany symbolizm ksiąg Daniela i Objawień. Doszedł do przekonania, że dziesiąty róg czwartej bestii Apokalipsy musi oznaczać Kościół Katolicki i określił pełen ufnosci rok 2000 jako datę jego upadku. Równocześnie gawędził o mocno ku doktrynie arianizmu nie uznającej Trójcy Św., a nawet skłaniał się do odmawiania istoty boskiej Chrystusowi.

Newton miał bardzo poza tym podejrzliwą naturę i pod koniec życia popadł w manię prześladowczą. Jest rzeczą charakterystyczną, że nie ożenił się i nigdy nie był zakochany.



nad lotniskami raketowymi, gdzie były poddawane próbom ostatnie kreacje bojowe w zakresie pocisków raketowych bliskiego i dalekiego zasięgu, których w USA istnieje kilkanaście typów, małego większego i

największego kalibru. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że talerze latające mają swój wybitny aspekt natury wojskowej.

(Ciąg dalszy na str. 5)

Rewelacje XX wieku

CZY MARSJANIE są już wśród nas

Kula pioruna wielkości sporego jabłka, świeciła żółtym światłem. Uderzywszy o metalowy gręt świecznika wybuchła z hukiem, pozostawiając na pamięć jedynie osmoloną plamę na suficie.

Prof. Benedicks ostrzega lotników przed zbytnim zbliżaniem się do latających talerzy, jako niebezpiecznym przedsięwzięciem, o czym świadczy przykład tragiczny kpt Mantella.

Tak tedy zdaniem tego uczonego — latające talerze byłyby kulami piorunowymi, czyli zjawiskiem naturalnym, związanym z Ziemią i jej atmosferą, czyli zjawiskiem geofizycznym.

Teoria Benedicksa nie obala oczywiście i nie wyklucza innych rozwiązań zagadnienia latających talerzy. Można jednakże przyjąć, że duża ilość obserwowanych na niebie świecących tarcz czy kul, da się wytłumaczyć kulami piorunowymi, o czym świadczyby jeden z nielicznych a autentycznych przypadków: katastrofa samolotu Mantella, ścigającego latający talerz o średnicy 150 metrów! Czyli około dwa razy większej, niż wysokość wieży kościoła Mariackiego w Krakowie!

„OJCIEC RAKIETY” A „LATAJĄCE TALERZE”

Przydomek „ojca rakiety” piastował do końca życia (1938) słynny astronauta Konstanty Ciolkowski. Po nim odziedziczył ten tytuł prof. dr

Hermann Oberth, który w roku 1923 opublikował zasady teorii lotu raketowego, zgodnie z koncepcjami Ciolkowskiego sprzed 20 lat.

Oberth był początkowo profesorem matematyki i fizyki w Rumunii a w okresie hitlerowskim przeniósł się do Niemiec i tutaj był promotorem ruchu astronautycznego. Jego uczeń hr. Wernherr von Braun był twórcą słynnej bojowej rakiety V-2. Obecnie Oberth, Braun i jakaś setka innych raketowych specjalistów przeniosła się do Ameryki, gdzie za nią mają stanowiska w przemysle zbrojeniowym USA w dziedzinie pocisków raketowych bliskiego i dalekiego zasięgu.

Zagadnienie latających talerzy nie uszło uwadze Obertha, jak i w ogóle wszystkich astronautów na świecie. Specjalnie właśnie Oberth zbierał jak najstaranniej wszystkie dane na temat latających talerzy i analizował je z możliwą dokładnością, w łącznej liczbie blisko 300 przypadków.

Wyniki jego badań na tym polu są bardzo interesujące. Około 90 proc. przypadków uznaje Oberth albo jako złudzenie optyczne albo jako mistyfikację, mimowolną i celową. Te ostatnie miały na celu albo zwrócenie uwagi na autorów dotyczących wiadomości o obserwacji talerzy, lub też po prostu chęć zysku.

Adamskiego i innych autorów sensacyjnych książek na temat latających talerzy Oberth uważa za świadomych oszustów, którzy na swych publikacjach zarobiły zwiastują wśród naiwnych a żądnych sensacji

W obronie łowisk

Niecodzienna siesta spotka, zwolenników filmu przygodowo-awanturistycznego, gdyż niebawem na naszych ekranach zobaczymy nowy film produkcji United Artists pt. „Indyjski wojownik”. Temat oparty na oryginalnym filmowym scenariuszu znanych hollywoodzkich autorów Franka Davisa i Ben Hechta zrealizowano w technicolorze, systemem panoramicznym „Cinemaskope”. Terenem zdjęć plenerowych był stan Oregon, gdzie reżyser Andre de Toth umieścił część akcji, w której grupa białych osadników posuwająca się na Daleki Zachód zostaje zatrzymana przez Indian ze szczepu Siouxów. Udać im się schronić w pogranicznym forcie, do którego przybywa dla udzielenia pomocy, głośny w okolicy pogromca Indian Johnny Hawk. Odwiedza obóz Siouxów i swego czerwonońskiego przyjaciela Czerwona Chmura i tam spotyka Szarego Wilka. Ten odrzuca możliwość pojednania się z białymi. W obozie poznaje córkę Czerwonej Chmury, piękną Onathi i zakochuje się w niej. Czerwonej piękności również nie jest obojętny dzielny, biały wojownik. Intryga komplikuje się jeszcze bardziej, gdyż Indianie znają złotodajne tereny i od nich te wiadomości, za wodkę, pragną zdobyć dwaj udający się wraz z osadnikami na Zachód awanturnicy. Zabijają przy tym Szarego Wilka, co skłania Czerwona Chmurę do podjęcia kroków wojennych i zaatakowania fortu. Rolę Indyjanki Onathi kreuje Elsa Martinelli, aktorka występująca pierwszy raz na ekranie. Do roli tej wybrana została spośród 87 kandydatek, będąc uprzednio modelką w jednym z domów mody w Rzymie. Dzielnym wojownikiem Johnnym Hawk jest znany amerykański Kirk Douglas.

SKANDAL W NOWYM TARGU CZYLI JAK UCZCZONO 45-LECIE TWÓRCZOŚCI JANA WIKTORA

Jan Wiktor przyjeżdża do Krakowa kiedy się stęknął za ludźmi, po czym wraca do Szczawnicy, by tęsknić za ludźmi.

Tu rodzą się pomysły, gromadzą materiały, dojrzewają koncepcje, by tam w zakosach pienińskiego słońca zabrzmieć spiszową mową prawdy i miłości. Pisarz prowadzi żywot anachorety: cichy, skromny, pracowity. Chyba taki jak wtedy, przed 45-ciu laty, kiedy jako student wydawał swoje pierwsze książki. Nie zmieniły go dni chwały i walki.



Organizacja finansowa, 1952 Data 9.8.1952

INSPEKCJA PODATKOWA I CITAT

OBWIESZCZENIE O LICYTACJI

W myśl art. 85 i 86 dekretu z dnia 28.1.1947 r. o egzekucji administracyjnej świadczeń pieniężnych (Dz.U. Nr 21, poz. 84) podaje się do publicznej wiadomości, że dnia 10.8.1952 r. o godzinie 10.00 w siedzibie Urzędu Podatkowego w Nowym Targu nastąpi na rzecz:

Wiktora Jan

№	Wyszczególnienie ruchomości	Dot.	Suma
1	biżuteria srebro	2	50.000
2	kredensy	2	6.000
3	szafy biłotatowe	2	10.000
4	komoda	2	2.000
5	stół komini.	2	6.000
6	biurko	2	2.000

Skandaliczny dokument

„Wierzy nad Sekwaną”, „Orka”, „Tęcza nad sercem”, „Burek”, „Zbuntowany”, „Skrzydlaty mnich”, „Pamięć i buntownik”, „Pieniny i ziemia sądecka”, z dziesiątkami innych przeorały jego serce poszły służąc ludzicom, wzruszać pięknem i prostotą, budzić sumienia, walczyć o godność ludzką i jej prawa.

Kiedy w 1944 roku rozszedła się wieść o śmierci pisarza „Gazeta Polska” (Nr 61, z 12. III. 1944 r. — Jeroczlina) pisała o nim: „Był to człowiek, był to literat, który przez całe życie dbał o to, aby człowiecze życie zgadzało się z literacką twórczością i przekonaniami. Nie uznawał kompromisów wobec niczego, nikogo, i wobec siebie samego. Nie kłamał w książkach i nie kłamał w życiu. A serce miało pełne czułości... wiem o tym, bo byłem świadkiem, jak po otrzymaniu nagrody literackiej Jan zakupił buty dla połowy blisko góralskich dzieci szkolnych w Szczawnicy.

Olbrzymia część jego zarobku szła w „bok”, rozdawana ukradkiem, ciutko, i z wielkim zawstyżeniem. Bardzo był zdenerwowany Jan, jeśli go na czymś takim przyłapałem — krzyczał, nawet na mnie:

— Głupstwa gadasz! Wierutne głupstwa gadasz! I zaklinał mnie, ażeby nie zdradził jego tajemnicy...

Jan Wiktor przeżył swoją śmierć, głęboko wzruszony inwokacją koń-

cząca kilku-kartkowy nekrolog: „Czy duch twój, Janie, chodzi po ogrodzie „willi Szalay” i czy czasami spogląda na umęczony tragiczne, krwawo sterturowany świat w pienińskiej Sokolicy?”

Istotnie, hitlerowcy nie mogli mu darować reportażu z Opola, i poszukiwali go pilnie w 1940 r., ale uratowała go góralka z Dolnej Szczawnicy. Musiał jednak uchodzić ze Szczawnicy i ukryć się w Krakowie, gdzie przetrwał do wyzwolenia, mimo że i tu go poszukiwano z wiadomym zamiarem. Tak się jakoś szczęśliwie złożyło, że nie fatygując ducha, spacerując po ogrodzie „willi Szalay” pan Jan zalał swoją osobą. Mało brakowało a chodziłby po własnym ogrodzie. Ale to już inna — smutna historia.

Otóż związany od najmłodszych lat swojej twórczości pisarskiej ze Szczawnicą zaprzyjaźnił się z równie rozkochaną w tym zakątku Pienin rodziną państwa Szalay. Nestorka rodu, szacowna, siedemdziesięciokilkuletnia pani Szalay, obmyślała sobie, że uczy pisarza czyniąc go jednym ze spadkobierców.

Stabo się. Po śmierci pani Szalay jej adwokat zawiadomił o tym pisarza. Jan Wiktor zapobiegł, powołując, że darowizna jest bez jego woli, więc jej przyjąć nie może. Adwokat złożył jednak ów testament w Sądzie Powiatowym w Nowym Targu.

Pisarz zajęty pracą nad swoją nową powieścią „Miłość wśród płonących wzgórz” — zapomniał o tym incydencie. Aż tu 11 maja 1956 roku spadła bomba: Wydział Finansowy PRN w Nowym Targu przysłał nakaz płatniczy na kwotę 45 tysięcy 917 złotych 60 groszy „za nieopłacone nabycie praw majątkowych ze spadku po Henryce Szalay”.

Gorliwy obrońca wszelkiej niedoli, szlachetny rzecznik zaszczytów i skrzywdzonych, nie umiał sobie obronić przed ulewą nakazów, terminów i upomnień z tytułami wykonawczości. Dopiero na prośbę skierowaną do Rady Państwa — Wydział Finansowy WRN w Krakowie pismem z 8 października 1956 roku odroczył „termin płatności podatku od nieopłaconego nabycia praw majątkowych ze spadku po Henryce Szalay... do czasu wydania przez Sąd Powiatowy postanowienia o stwierdzeniu praw do spadku”.

Kiedy spotkał się na wiosnę tego roku uradowany pan Jan powiedział mi:

— Wygrałem. Sąd unieważnił testament.

Ale radość była krótka. Szesnastego maja znowu przyszło upomnienie z Wydziału Finansowego w Nowym Targu. Powiadomiony o tym pisarz przyjechał ze Szczawnicy i wysłał pismo następującej treści:

„Prezydium Powiatowej Rady Narodowej

Wydział Finansowy w Nowym Targu

Dnia 16 maja 1957 r. otrzymałem upomnienie o zapłacenie 45 tysięcy 917 złotych 60 groszy za „nieopłacone nabycie praw majątkowych”.



Jan Wiktor przy pracy

Pragnę uprzejmie zapytać o jaką darowiznę chodzi tutaj na tej ziemi.

Może o spadek po Henryce Szalay? Otóż w tej sprawie musiałem już raz zwracać się do Rady Państwa, aby mnie wzięła w obronę i Rada Państwa uczyniła to. Obecnie będę musiał uczynić to po raz wtóry...

Otóż pozwalam sobie jeszcze raz wyjaśnić. Bez mojej wiedzy, zgody a nawet wbrew mojej woli H. Szalay (Dokończenie na str. 9)

CZY MARSJANIE SĄ JUŻ WŚRÓD NAS?

(Dokończenie ze str. 4)

Najciekawiej brzmi jednak orzeczenie Obertha na temat pozostałych dwu procent przypadków przez niego analizowanych. Tutaj Oberth dochodzi do przekonania, że tych kilka sprawdzonych bez zarzutu przypadków, udokumentowanych fotografiami i zeznaniami poważnych osób — nie da się inaczej wytłumaczyć, jak tylko przyjęciem alternatywy, że pochodzą one właśnie — z innych planet!

I tutaj, mimo woli może, dwaj profesorowie, jeden z prawdziwego zdarzenia — Oberth, słynny rzeczoznawca rakietowy, i drugi — mistyfikikator dla zysku — podają sobie rękę!

A stojącemu na uboczu Czytelnikowi, czytającemu fantastyczne powieści „naukowe” i entuzjastyczne recenzje na temat przeżyć Adamskiego i tutti quanti, jest trudno orzec, kto i z której strony go bije? Zwłaszcza, że, jak się, niżej okaże, sprawa ma jeszcze dalsze aspekty, znów niepotwierdzone albo też wprost zaprzeczane przez sceptycznych krytyków!

NOWY TERMIN NAUKOWY (?) ELEKTROGRAWITACJA

Zaczęło się to od sensacyjnych wiadomości przyniesionych w listopadzie 1955 r. przez amerykański dziennik New York Herald Tribune. Oto szereg tamtejszych wielkich koncernów fabrycznych i placówek naukowych ma prowadzić przeważnie w tajemnicy badania na temat możliwości zmniejszenia lub całkowitego usunięcia siły grawitacji oraz przemiany jej energii w energię elektromagnetyczną lub odwrotnie.

Pismo wymieniało następujące placówki, które zajmują się sprawą „elektrogravitacji”. Wymieniamy je tutaj in extenso, aby wyraźnie stwierdzić, że nie ma tu mowy o instytucjach lub osobach pokroju Adamskiego. Oto one:

Glenn L. Martin Co (które są zajęte realizacją projektu Vanguard — sztuczny Księżyc — i budową ICBM Titan — międzykontynentalny pocisk rakietowy).

Convair Division of the General Dynamics Corporation (budują ICBM Atlas, a ich pracownik dr Edward Teller jest autorem projektu superbomby wodorowej FFF).

Leer Inc. (ogromny koncern elektrotechniczny).

The Princeton Institute for Advanced Study oraz Uniwersytet w Princeton (gdzie profesorem był Einstein).

Uniwersytety w Indiana, North Carolina i Purdue.

Tych kilka nazwisk dowodzi, że wiadomości dziennika N. Y. Herald Tribune — to nie kaczka dziennikarska, ale lew czy słoń pierwszej klasy. W rok później podobne wiadomości przyniosło poważne szwajcarskie pismo lotnicze „Interavia”.

Z wiadomości tych, znanych z najważniejszych i bałamutnych (być może — celowo) wynikałoby, że uczeni są na tropie wykrycia realnych związków między grawitacją a zjawiskami elektromagnetycznymi w myśl nieukończonyj ostatecznie teorii Einsteina z r. 1950 (The Unified Field Theory — teoria zjednoczonego pola).

Doniesienia na temat elektrogravitacji podawały nawet pewne frapujące szczegóły. Oto rzekomo jakiś materiał po zaopatrzeniu go odpowiednim ładunkiem elektryczności,

tracił o 30 proc. swój normalny ciężar właściwy, czyli inaczej, bryła o ciężarze np. 100 kg zaczynała nagle ważyć tylko 70 kg.

Miały być już podobno zbudowane przyrządy, oparte na zasadzie kondensatorów elektrycznych, które po naładowaniu elektrycznością statyczną, unosiły się i poruszały swobodnie w przestrzeni, niczym talerze latające. A co więcej — pojazdy te miały właśnie kształt ogromnych talerzy!

Latające talerze nagle odzyskały „twarz”. Znalazły swego rodzaju „pokrycie” naukowe w postaci zresztą niesprawdzonych wiadomości z pracowni badawczych bardzo poważnych instytucji.

Oczywiście odkrycie umożliwiające kasowanie siły grawitacji posiada olbrzymie znaczenie naukowe, techniczne i dla obrony kraju. To też wszystkie doniesienia są zgodne co do tego, że dotyczące badania odbywają się pod osłoną tajemnicy urzędowej.

W każdym razie Oberth, który, jak by to można powiedzieć, tkwi „po uszy” w tych obronnych tajemnicach, ani słówkiem nie wspomina w swej opinii o talerzach, że istnieją jeszcze rozwiązania sprawy w postaci najnowszych wynalazków z dziedziny elektrogravitacji. Na ostatnim kongresie astronautycznym w Rzymie (1956) panowało pod tym względem absolutne milczenie. Być może, że tegoroczny kongres (Barcelona, wrzesień 1957) przyniesie na ten temat jakieś istotne rewelacje.

A więc tymczasem cieszymy się możliwością, że latające talerze dadzą się wytłumaczyć „elektrogravitacją” lub „antigravitacją”, jako źródło siły dla poruszenia tych tajemnych weliułów dwudziestego wieku.

Niestety radość trwa niedługo. Bo oto...

INNY ASTRONAUTA DOCHODZI DO GŁOSU

W angielskim czasopiśmie (ostatni numer 75 Journal of the British Interplanetary Society — pismo Brytyjskiego Towarzystwa Astronautycznego) znajdujemy obszerną pracę członka i byłego prezesa tego Towarzystwa, nazwiskiem A. V. Cleaver, który jest asystentem szefa inżynierii oddziału maszyn samolotowych firmy Rolls-Royce itd. Jest to zatem osobistość wysokiej klasy i pod względem naukowym i technicznym, oraz rzeczoznawca rakietowy co najmniej tego rzędu, jak Oberth.

Artykuł ma tytuł: „Elektrogravitacja — czym jest albo czym może być”. Autor podaje tutaj historyczny rzut oka na rozwój samej idei, oraz poddaje krytyce wiadomości, jakie dochodzą do szerokiej publiczności na temat tajemniczych badań w dziedzinie powszechnego ciężenia.

Krytyk wykazuje, że mętne i niesprawdzone wiadomości nie pozwalają absolutnie na wysnucie jakichś definitywnych wniosków ani w zakresie możliwości teoretycznych ani praktycznych.

Z artykułu Cleavera przebiega się niechybnie pewna zaśność z własnie w Ameryce a nie w Europie — są prowadzone tak rozległe prace badawcze na temat elektrogravitacji kosztując wielomilionów dolarów i przez setki uczonych i techników najwyższej klasy.

WNIOSKI KOŃCOWE

Są rzeczy na ziemi i nieb'ie, o których nie śniło się filozofom, Ta

CUDA NOWOCZESNEJ TECHNIKI

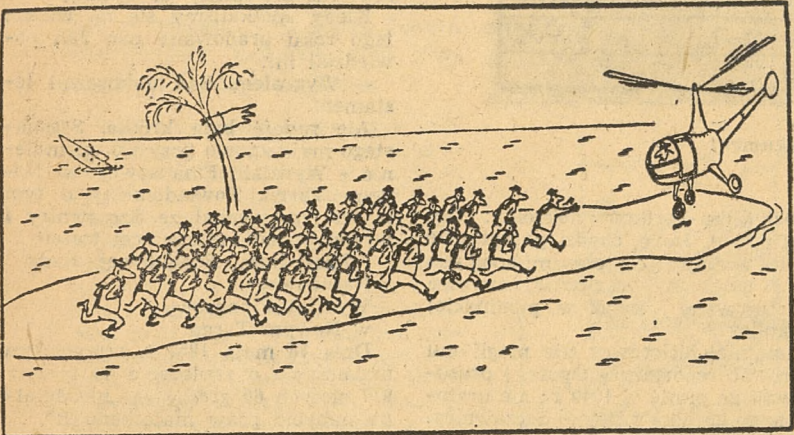
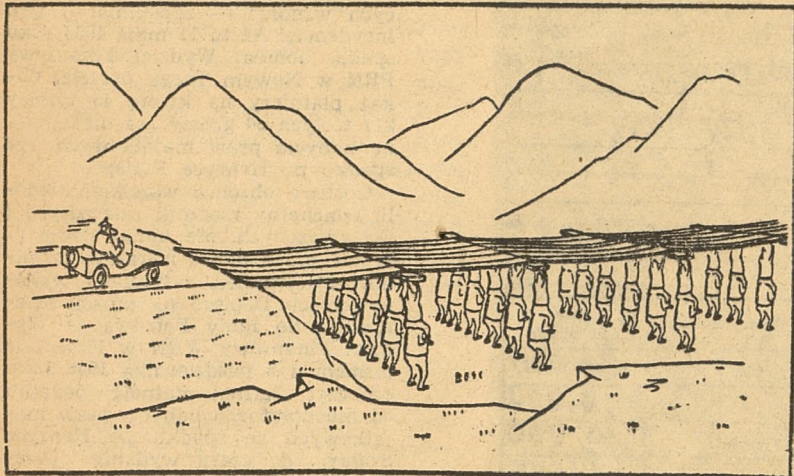
maksyma poety niezawodnie sprawdziła się już wielokrotnie i będzie nadal sprawdzać. Toteż na pytanie, czy „latające talerze” istnieją, czy też są tylko wytworem wyobraźni, zbiorowej sugestii, celowej mistyfikacji itp. nie można odpowiedzieć zaprzeczając w czambuł wszelkim możliwościom.

Pół wieku temu, gdy już istniał wzór Einsteina $E = mc^2$ stwierdzający, związek między „twardą” materią i nieuchwytną, po prostu wówczas „idealistycznie — niematerialną” energią, żadnemu uczonemu nie śniło się nawet, iż niebawem atomistyka wykaże słuszność teoretycznego prawa o zamianie energii w materię i odwrotnie, wedle klucza, obmyślonego przez Einsteina przy pomocy kawałka ołówka i papieru, no i — mózgu geniusza. A jakiś niecały wiek temu to samo było z elektromagnetyczną teorią Maxwella, która przez 20 lat była niezrozumiana. Nikt nie wiedział wówczas o falach elektromagnetycznych i o tym, że światło — to właśnie taka fala.

Toteż, być może, problem latających talerzy, będący może pierwszą przygrzywką do rakietowego napędu jonowego lub do zjawisk elektrogravitacyjnych, doczeka się, i to niebawem, rehabilitacji nie w tym sensie, że odkryjemy na Ziemi mieszkających planety Venus, którzy wedle wynurzeń Adamskiego „chodzą po dnogach na Ziemi” a „w innym odzieniu mogliby łatwo uchodzić za piękną kobietę”.

Latające talerze, Adamski, Oberth, Glenn L. Martin Co, Cleaver, Einstein — to tylko fragmenty, mniej lub bardziej ważne w rozwoju nauki i techniki na Ziemi.

EUSTACHY BIAŁOBORSKI



UCZENI RADZIECCY

opracowali aparat pozwalający dzięki zastosowaniu fal ultradźwiękowych wykręcić najdrobniejsze ośrodki raka na ciele ludzkim.

DWUPIĘTROWY MOST

o długości 1.100 m zostanie wykonany nad Jang-Tse-kiang we wrześniu br. Na jednym poziomie odbywać się będzie ruch samochodowy, na drugim kolejowy.

UWAGA RODZICE!

Wg zdania dwóch uczonych amerykańskich na międzynarodowym kongresie reumatologów w Toronto artretyzm reumatyczny może mieć podkład psychiczny. Rzekomo w większości zbadanych przez nich przypadków chorzy cierpieli w dzieciństwie z powodu rozwiniętego nadmiernie despotyzmu rodziców.

Obowiązek moralny

Handel z Chinami jest chrześcijańskim obowiązkiem Ameryki. Nie można wierzyć w Boga i równocześnie...

śnie doprowadzić ludzi żółtej rasy do ubóstwa i niedostatku tylko dlatego, że mają inną ideologię (senator Wayne Morse).

Udogodnienia

Na szczycie Fuji Yamy zainstalowano 26 aparatów telefonicznych do użytku turystów.

Powód do rozwodu

Jeden z amerykańskich senatorów wystąpił do sądu z wnioskiem o udzielenie mu rozwodu. Jako powód podał, że żona, która jest odmiennych politycznie przekonań, zmieniła na swoją modłę przemowę uprzednio przygotowaną przez niego. Zmiany zauważył mówca dopiero podczas wygłaszania referatu, co zmusiło go do zejścia z trybuny i naraziło na kompromitację.

Nowe przepisy więzienne

W Kalifornii każdemu z więźniów, który odda szpitalowi pół litra krwi, redukuje się za każdym razem karę o 5 dni.

WĘDRÓWKA DUSZ

— Czy ty wierzysz w wędrówkę dusz?
— O tak! Jestem nawet przekonany, że dawniej byłem osłem.
— Kiedyż to było?
— Wtedy, gdy pożyczylem ci tyśiąc złotych!

WAZELINIARZ

Dyrektor przedsiębiorstwa do referenta: — Dokąd pan jedzie na urlop w tym roku?
— Do Szklarskiej Poręby Górnej.
— A ja do Szklarskiej Poręby Dolnej!
— Och! — jęknął zgity w pas referent. — Proszę mi wybaczyć, panie dyrektorze.

PRZESTROGA

Żona do męża w pasji: — Przedwczoraj wróciłeś do domu dopiero wczoraj. Wczoraj dopiero dzisiaj. Zapowiadam ci, że jeśli dzisiaj wrócisz dopiero jutro, to sprawię ci takie lanie, że popamiętasz ruski miesiac!

W OPARACH ALKOHOLU

Do urzędu stanu cywilnego wpada młody mężczyzna, zalany jak kanał, i zapytuje:
— Up... przepraszam... Ale chciałem zgłosić bliźnięta, którymi tej nocy zostałem uszczęśliwiony... Może więc panie zechcą się pospieszyć z zapisaniem, up... jesteście tu dwie... a ja...up... nie mam czasu...



— Jak to dwie? — dziwi się sekretarka. — Przecież jestem sama!
— Sama? O rety! — pijany przeciera oczy. — To ja skoczę jeszcze do domu... up... i sprawdzę, czy to rzeczywiście bliźniaki?...

DECYZJA AKTORKI

Jedna z amerykańskich aktorek filmowych wyszła po raz trzeci za mąż. Kilka dni po ślubie spotyka swą koleżankę, która zapytuje:
— Słyszałam, że twój nowy mąż jest z pochodzenia Grekiem. Czy jesteś z niego zadowolona?
— Bardzo! Odtąd będę wychodzić za mąż tylko za Greków!

WYRÓŻNIENIE

— To nadzwyczajne! Już po raz piąty stajecie przede mną jako oskarżony!
— Tak jest, Wysoki Sądzie. Jak już nabiorę do kogoś zaufania, to przychodzę do niego ze wszystkimi sprawami...

RZECZ NIE DO WIARY!

W czasie zebrania towarzyskiego jeden z gości opowiada: — Znam pewnego malarza, który, chcąc spłatać figla swoim bliźnim, potajemnie na suficie sieni swego domu wymalował pajęczynę tak ładując podobną do prawdziwej, że dozorcyni przez kilka dni na próżno wysilała się, aby ją usunąć...
— Ze istnieje tak zdolny malarz, to chętnie wierzę, ale żeby była taka dozorcyni domu, jak pan mówi, w to nigdy nie uwierzę! — oświadczyła pani domu, piastująca godność radnej miejskiej.

SKUTKI WYGRANEJ

Do mieszkania państwa Katłapińskich wpada młody człowiek z zapytaniem: — Czy to prawda, ciociu, że wuj Onufry wygrał na loterii lajonkowskiej tak dużą sumę pieniędzy, że kupił sobie samochód? Gdzie jest ten szczęśliwiec?
— W szpitalu!

ZIMNA KREW RYBAKA

Pan Bolesław N-ski, znany rybak miejscowy, przynosi do domu wspaniałego szczupaka. Wbrew przewidywaniom jednak, żona wita go wyjątkowo oziębło, mówiąc troniecznie:
— Kiedy jak kiedyś, ale teraz nie będziesz we mnie wmawiał, że go własnoręcznie złapałeś! Tak, mój drogi, widziałam cie naszą sąsiadką w sklepie rybnym. Cóż ty na to?
Znakomity rybak, nie tracąc zimnej krwi, odpowiedział:
— Właśnie, właśnie, moja duszko, złapałem dziś tyle szczupaków, że część musiałem sprzedać po drodze...



LOJALNOŚĆ

— Kasiu — mówi oburzona matka do córki — widziałam, jak cię ten młody milicjant całował, a tyś się nawet nie próbowała bronić...
— Ależ, moja mamusiu, to byłby przecież czy nny opór władzy!



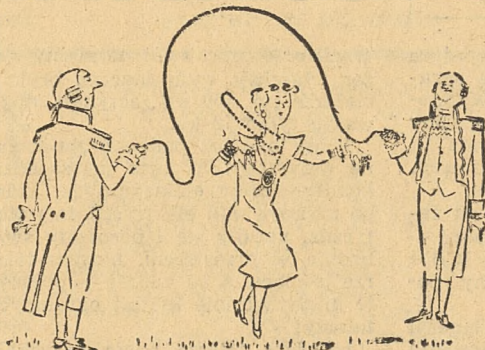
SŁUSZNE PORÓWNAŃCIE

— Jak się sprawuje twój nowy pomocnik?
— Jak rower.
— Co to znaczy?
— Ano, bo rusza się dopiero wtedy, gdy na niego wsiałam, i — ciągle trzeba nim kierować...

„LEPSZY” TOWAR

— Zadowolona pani z tego płaszcza, kupionego w naszej spółdzielni?
— O tak, nosiły go kolejno wszystkie moje dzieci.
Doprawdy? taki dobry materiał?
— E, to nie... ale po każdym deszczu tak się kurczył, iż musiałam dawać płaszcz coraz mniejszemu dziecku...

HUMOR



★ Okienko problemów aktualnych ★ Okienko problemów aktualnych ★

Starożytni utrzymywali, że cały otaczający ich świat zbudowany jest z czterech żywiołów: z ziemi, powietrza, ognia i wody. Utrzymywali tak, bo wśród starożytnych narodów zabrakło Polaków. Gdyby ich nie zabrakło, to zapewne mówilibyśmy dzisiaj, że starożytni rozróżniali nie cztery, a pięć żywiołów i że owym piątym żywiołem i to żywiołem najgroźniejszym, jest wódka. Najgroźniejszym do dziś, przynajmniej w naszym kraju.

Na to, by ogień nie trafił ludzkich osiedli, wznosi się je z materiałów ogniotrwałych, całe armie straży pożarnych stoją w wiecznym pogotowiu do walki z tym żywiołem. Na to, by woda nie zalewała naszych pól i domostw w czasie powodzi, budujemy kosztowne śluzy, zapory wodne, regulujemy rzeki.

A na to, by nas nie zalewała woda — co robimy? Ano, jednogłośnie uchwaliliśmy w zeszłym roku w Sejmie ustawę antyalkoholową, powołaliśmy do życia społeczne komitety do walki z alkoholizmem, które w miarę swych możliwości finansowych, raczej bardzo skromnych, usiłują uprawiać propagandę antyalkoholową. Ot, i chyba wszystko, czyli innymi słowy do walki ze słoniem posłaliśmy wróbla.

A tymczasem, co robi słoń? Prawie 12 i pół miliarda złotych przepiliśmy w roku

ubiegłym. Sumka niczego sobie, nieprawdza? Ale co to jest w stosunku do naszych możliwości? W tym roku ustanowimy chyba na tym polu jeszcze wspanialszy rekord, skoro do końca czerwca zdołaliśmy wypić o 10 milionów litrów czystego alkoholu więcej, aniżeli w analogicznym okresie roku ubiegłego. Może się z tego uzbiera 15 miliardów złotych, a może jeszcze więcej?

I to jest właśnie najgroźniejsza siła tego żywiołu. Zniewała naszych finansistów i ekonomistów perspektywą dochodów, które pozwolą zrównoważyć budżet państwa. No bo potrzeba pieniędzy na podwyżki plac, na budownictwo mieszkań, szpitali, fabryk. Skąd brać na to fundusze — suszą sobie głowy ekonomiści i finansisci i jak tonący brzytwy chwytają się owych miliardów płynących wraz z wódką.

To doprawdy swoisty podział ról. Społeczeństwo niszczy swą egzystencję, swe życie, zdrowie fizyczne i moralne w potokach wódki, a z tych samych potoków państwo czerpie środki na naprawę owej egzystencji, na ratowanie życia i zdrowia obywateli. A ponieważ na tej drodze jedna stro-

na, czyli społeczeństwo, niszczy więcej aniżeli druga strona, czyli państwo naprawia, więc stąd jest miejsce na taką rzecz, jak walka z alkoholizmem, wokół której robi się wprawdzie wiele hałasu, ale która w skutkach jest taka, że pijemy coraz więcej. Ale grunt, że jest walka z alkoholizmem i że sumienie jest spokojniejsze, że z większym spokojem można korzystać z owych miliardów złotych, które wódka przysparza Skarbowi Państwa, że przez palce można spoglądać na handel, który plany swoich obrotów opiera głównie na wódce.

Co, walczyć z alkoholizmem na serio, bez pardonu? Otóż wyobraźmy sobie, że jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej z dnia na dzień wszyscy obywatele naszego państwa przeobrażą się w stuprocentowych abstynentów, nabiorą takiego wstrętu do alkoholu, że jedynymi płynami, jakie będą uznawać, staną się mleko, oranżada, woda mineralna itp. A wtedy... Wtedy rychło parzeć jak z hukiem i trzaskiem zawali się nasz budżet państwowy.

Nie wierzyć? Dokładnie 33.728 milionów złotych pójdzie w tym roku z budżetu cen-

tralnego na inwestycje. Nawet laik zrozumie, co to znaczy, gdyby tak odjąć z tej sumy raptem np. 13 miliardów złotych. To mniej więcej tyle, ile w tym roku przeznaczą na inwestycje Ministerstwo Energetyki, Ministerstwo Przemysłu Maszynowego, Ministerstwo Przemysłu Chemicznego, Ministerstwo Przemysłu Materiałów Budowlanych, Ministerstwo Budownictwa, Ministerstwo Przemysłu Lekkiego, Ministerstwo Kolei i Zdrowia — razem wzięte.

Oto, gdzie jest pies pogrzebany. Oto, gdzie pogrzebana jest walka z alkoholizmem, proszę obywateli. Nie zakładajmy sobie blachy na oczy. W tych warunkach poczynania antyalkoholowe, choćby dokonywały się przy jak najgłośniejszym akompaniamencie propagandy, są parodią tego, co by w tej dziedzinie robić należało. I będą parodią dopóty, dopóki nasi ekonomiści i finansisci nie zaczną łątać budżetu innym sposobem niż to robią dotychczas. Dopóki nie znajdą sobie innych źródeł dochodu, zdolnych przynajmniej w części zrównoważyć dochody płynące ze spożycia alkoholu. I taki powinien być pierwszy krok na drodze walki.

Z tym, że tego kroku sami ekonomiści nie dokonają, bo wiadomo, że z próżnego i Salomon nie należy.

Co o tym myślisz — Czytelniku?

DACH NAD CZŁOWIEKIEM



Człowiek, który z Polski wyjeżdża do Chin, wie kilka rzeczy na pewno. Wie, że to jest bardzo daleko. Że wtedy, kiedy, u nas jest godzina dwunasta w południe, w Pekinie jest szósta rano. Jest pięknie gorąco. Że na tysiąc spotkanych ludzi mógłby się porozumieć tylko z siedmioma, gdyby znał jeden z pięciu powszechniejszych w Chinach języków — z japońskim włącznie. Wie jeszcze wiele podobnych rzeczy, które przeczytał, które słyszał. Oczywiście — jeżeli jest człowiekiem rozsądnym — za najpewniejsze uważa te, których się domyśla.

Ale — nawet jeżeli jest człowiekiem z bujną wyobraźnią, — niczego sobie nie potrafi wyobrazić. Bo z jednej strony wie że do Pekinu z Warszawy leci — dokładnie: spędza się w powietrzu — około dwudziestu godzin, ale przecież nigdy tak długo w powietrzu nie był. Wie, że na lotnisku w Pekinie będzie go ktoś oczekiwał, ale nie po-

trafi sobie wyobrazić, jak wśród 650 milionów Chińczyków rozpozna właśnie tych, których Chińskie Towarzystwo Współpracy Kulturalnej z Zagranicą przeznaczyło na jego opiekunów. Wie... — ale dajmy temu spokój. Wasz sprawozdawca jest już w Pekinie. Teraz cały trud „wyobrażania sobie” spada na Czytelnika tych notatek. O — jak to dobrze...

Redaktor „Zdarzeń” powiada: spędził pan, w Chinach dwa miesiące, przejechał pan po tym kraju kilkanaście tysięcy kilometrów. Mamy prawo oczekiwać od pana relacji barwnej, ciekawej, interesującej i dysponujemy niewielką ilością miejsca...

Dobrze — myślę — ale przecież sam Pekin liczy 3.400 tysięcy mieszkańców jego ulice mają 755 kilometrów długości, historia liczy się na tysiąclecia, żyje tu kilkudziesięciu Polaków — co za temat! — i jest stolica Chin. Który z tych wymienionych — i ważniejszych, nie

wymienionych — „aspektów” wybrać? Chyba ten:

Pekin rośnie. Znamy to zjawisko. Ale Pekin rośnie inaczej. W mieście zamkniętym regularnym czworobokiem zachowanych w całości do dziś murów obronnych — nie dostrzegasz tego. Kilka czy kilkanaście hoteli, biurów, domów handlowych nie zmienia obrazu miasta. Aby zobaczyć nowy Pekin, trzeba wyjechać za miasto, dotrzeć do dzielnicy uniwersyteckiej, do tej części nowego Pekinu, w której mieszczą się instytuty naukowe, osiedla mieszkaniowe. To nowe w niczym nie przypomina starego mimo, że nie przestaje być chińskie (kształt dachów). Wyrasta nie tylko na nowym terenie, ale z nowego gruntu „strojowego”. W starym Pekinie labirynt uliczek — nie zmienia tego fakt, że ogromna ich większość krzyżuje się pod kątem prostym, bieżą bowiem w myśl tradycyjnych założeń urbanistycznych albo ze wschodu na zachód, albo z południa na północ — zabudowanych dachami nad głową. Domy słoczone, niskie. Jego wnętrza zapewnia życie, w którym jutro jest powtórzeniem wczoraj, a wczoraj jest powtórzeniem dnia sprzed lat pięćdziesięciu a może stu. Nic, albo niewiele więcej dach nad głową.

Nowy Pekin — to dach nad człowiekiem, nad jego wszystkimi sprawami. Człowiek, który tu mieszka albo więcej, który to miasto buduje, wie, że jutro może być i będzie inne. Wystarczy mu energii nie tylko na to, aby kopiować dzień wczoraj, ale żeby kształtować inaczej, lepiej dzień jutrzejszy. Tu wspólnie z człowiekiem, mogą zamieszkać i jego marzenia.

Nie są to marzenia łatwe. Nie ma w nich miejsca na domek z ogródkiem (nie ma takich w Chinach).

Ich treść? Może wyrazi ją to zdanie: wszystko jest przed nami.

HISTORIE

Upalne lato 1940 roku. Oświęcim. Na przedmieściu tej małej, prowincjonalnej miejscowości, hitlerowcy założyli obóz koncentracyjny. Liczy on zaledwie parę tygodni. Plot z drutu kolczastego otacza dawne budynki Polskiego Monopoli Tytoniowego i parę budynków dawnych koszar wojskowych.

Dnia 14 czerwca przybył tu pierwszy transport więźniów Polaków. Liczba więźniów obozu jest na razie niewielka. Nie przekracza 1.300 ludzi. To oni i następne transporty będą ginąć przy budowie ogromnego kombinatu, znanego w świecie jako „Konzentrationslager Auschwitz”, obejmującego obóz macierzysty. Brzezinkę i 39 obozów pobocznych.

I sugeruje, że z pewnością chodziło o próbę uwolnienia więźniów. Tymczasem raporty kompanii wartowniczej stwierdzają, że mimo natychmiastowego przeszukania terenu, nikt nie został znaleziony.

Höss z powyższego incydentu zrecnie konstruuje tło do sprawy ucieczki Więjowskiego. W przytoczonym bowiem piśmie szeroko tłumaczy swym przełożonym niebezpieczeństwo grożące obozowi. Żali się, że oświetlenie bozu jest niedostateczne, że załoga SS jest za mała oraz że „nie można oczekiwać jakiegokolwiek pomocy ze strony policji i armii gdyż jest ona niepewna, a okoliczna ludność jest fanatycznie polska, gotowa do każdego wystąpienia przeciwko znienawidzonej SS. Więźniów, którym uda się zbiec — pisze dalej Höss — otrzymać natychmiast pomoc, skoro osiągnie najbliższą zagrodę polską.

Grunt do wyjaśnienia pierwszej ucieczki i wstrząśnięcia się z kłopotów został przygotowany. Zakładnicy za zbiegłego czekają na swój los

PIERWSZA UCIECZKA

„EINER FEHLT“

Jest 6 dzień lipca. Upalne popołudnie skłania się ku wieczorowi. Na placu apelowym szare i wynędzniałe szeregi więźniów. Apel duży się w nieskończoność. W powietrzu dojrzeła burza. SS-mani biegają naładowani wściekłością i przekleństwami. Nagle, jak piorun przebiega przez ciśnie kolumny więźniów wiadomość — einer fehlt, jednego brakuje!

Krótkie dochodzenia ustaliły, że zbiegł Polak, Tadeusz Więjowski. W kompanii wartowniczej alarm. Wszystkimi drogami rusza pościg. Dzwonią telefony, alarmując posterunki żandarmerii, policji i okoliczne placówki gestapo.

Tymczasem w obozie trwa apel. Jest już noc. Na rozkaz komendanta obozu SS-Hauptsturmführera Hössa, SS-manj wypędzają chorych ze szpitalnego baraku. Ręce założone na karki, słabe nogi drżą z wysiłku. Będą tak stać, dopóki zbiegły nie zostanie schwytany.

Noc zmierzają nieprzytomnym zmęczeniu do snu. Szeregi więźniów jamią się. Co chwila ktoś pada na ziemię. Niektórych podnoszą wściekle ciosy i kopniaki załogi obozu. Apel trwa...

Rano przed ślaniającymi się ze zmęczenia kolumnami pojawia się Höss. Rzuca pytanie — kto wiedział o ucieczce? Milczenie. W dramatycznej ciszy zgłasza się więzień nr 100. Ten wie i powie...

Apel trwa dalej. Patrole pościgowe składają meldunki o bezowocnych poszukiwaniach. Höss wpada we wściekłość. Telefonem daje znać o ucieczce do Katowic. Równocześnie zawiadamia o wypadku szefa Sicherheitspolizei SS-Obergruppenführera von dem Bacha we Wrocławiu. W obozie poleca natychmiast aresztować pięciu robotników cywilnych, którzy pracowali razem ze zbiegłym Więjowskim przy remoncie jednego z budynków oraz jedenastu Polaków — więźniów. Wszyscy oni będą odpowiadać za ucieczkę.

TAJEMNICA POSTERUNKU NR 3

Mija kilka dni. Pierwszy, tragiczny całonocny i całodzienny apel pochłania wiele ofiar. Aresztowana szesnastka przeszukiwana jest niemal codziennie przez gestapowców z oddziału politycznego. Höss czeka. Liczy jeszcze na ujście zbiegłego więźnia. Ta ucieczka przysporzyła mu nie mało kłopotu. U progu kariery nowokreowanego komendanta obozu jest ona wydarzeniem, które może zaszkodzić. Dlatego trzeba działać sprytnie i ostrożnie...

Mija tydzień. Kiedy dnia 12 lipca po zbiegłym nie ma ani śladu, Höss wysłał pismo do centrali obozów koncentracyjnych w Oranienburgu na rece inspektora Gluksa. Donosi w nim o rzekomej próbie uwolnienia więźniów przez okoliczną ludność.

Pod alarmującym nagłówkiem: „Versuchter Ueberall auf einen SS-Posten in K. L. Auschwitz“ — podaje on szczegóły, jakoby w nocy dnia 12 lipca SS-man Demenus zauważył około godziny 23.30 na posterunku nr 3 podejrzane trzy osoby w pobliżu wieży wartowniczej. Wezwał je do zatrzymania się, a kiedy to nie poskutkowało, zaczął strzelać alarmując sąsiednie posterunki.

Z tego incydentu Höss wysuwa w raporcie wnioski, że w ciemnościach musiało się znajdować więcej osób

„w bunkrze, a pan komendant spokojnie już patrzy w przyszłość.”

WYSOKA INSPEKCYJA

Dnia 18 lipca o trzeciej popołudniu przed willą Hössa zajeżdża wytworny „Opel-Admiral”. Z limuzyny wysiada Hoehere SS und Polizeiführer, SS Gruppenführer von dem Bach zastępca führera SD oddziału południowo-wschodniego SS-Obersturmbahnführer Somann i kierownik urzędu ziemskiego Müller. Po smacznym obiedzie u gospodarza, rozmowa toczy się wokół ucieczki Więjowskiego. Wnioski Hössa są krótkie i radykalne — natychmiast rozstrzelać więźniów-zakładników i aresztowanych wraz z nimi robotników cywilnych.

Ale to nie wszystko. Argumenty Hössa widocznie trafiły do przekonania „wysokiej komisji skoro równocześnie postanowiono jak najszy-



ciej oczyścić całą okolicę z ludności polskiej.

„ten środek — pisze potem Höss w piśmie do centrali, znakowanym Az 14/k/5/7.40/Hö/Hö, powołując się na rozmowę z von dem Bachem — jest konieczny, aby ludność polska zrozumiała, że obóz jest pod strażą SS i nie może to być porównane z podobnymi urządzeniami policji lub Wehrmachtu”.

Wysoka komisja odjechała. Sprawa została załatwiona pomyślnie. Ale przecież „porządek musi być”. I dlatego to na drugi dzień po wyjeździe von dem Bacha, Höss wysłał trzy pilne pisma, precyzując formalne wnioski omówione podczas ostatniej inspekcji. Jeszcze raz prosi o udzielenie daleko idących środków dla zabezpieczenia obozu.

W depezy do Bacha, sygnowanej Az 14/f 1/7 40, z dnia 19 lipca wnosi o rozstrzelanie przebywających w bunkrze zakładników. Wniosek ten nosi oficjalny tytuł „Erschiessungsantrag gegen 5 polnische Zivilarbeiter und 10 polnische Schutzäftlinge im K. L. Auschwitz”. Depeza wymienia nazwiska robotników cywilnych: Bolesław Bicz, Józef Muszyński, Emil Kowalowski, Józef Pałek, Stanisław Mrzygłód. — oraz nazwiska więźniów — Grzegorz Olek, Rudolf Gregor, Grzegorz Urbanski, Władysław Szczudlik, Karol Jurek, Paweł Zbieszczyk, Tadeusz Kukulski, Stanisław Bargiel, Leopold Gunia, Gerhard Hejka i Zdzisław Wiesiołek.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MIECZYSLAW KIETA

KONIEC OKIENKO PROBLEMÓW AKTUALNYCH ŚWIATA

— „I co, nie wierzy pan, że zbliża się koniec świata — powiedział kioskark, gdy kupowałem gazetę, w której donoszono o pożarze poczty krakowskiej i o tym, że Kraków jest odcięty od świata — kometa na niebie, panie, zamikły telefony, panie szanowny, a kto nam zaręczy czy jutro nie spali się dworzec kolejowy, elektrownia, tramwaje i kilka innych instytucji? I pan nie wierzy w rychły koniec świata!”

W koniec świata nie wierzę, chociaż... gdyby tak istotnie przestały działać instytucje wymienione przez kioskarkę byłoby to początek końca naszego starego grodu. Nie, moi drodzy. Nie żartuję. Pozornie wydaje się, że można by jakoś dać sobie radę bez telefonów, tramwajów, czy elektryki. Cywilizacja — panie dziejku — to zguba ludzkości — biadają malkontenci. Biedacy, nie zdają sobie sprawy, że gdyby nie nowoczesne środki komunikacyjne — ot, choćby samochody, które skądinąd tak często są sprawcami katastrof i śmierci — ich własne szanse życiowe zmniejszyłyby się gwałtownie. Bez samochodów — karetka pogotowia setki ludzi utraciłyby możliwości ratunku w razie nagłego wypadku lub choroby. Miasto nowoczesne jest zbyt rozległe dla starych środków komunikacji i łączności. To truizm. Na drugą noc po pożarze krakowskiej poczty zdarzył się tragiczny wypadek. Zraniony człowiek leżał długi

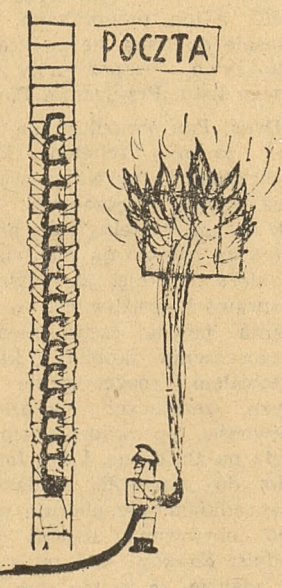
czas na bruku. Telefony nie działały. Nigdzie w pobliżu nie było lekarza. Przygodni przechodnie starali się zastrzymać samochody. Dopiero likty z kolei zdecydował się pojechać... po karetkę pogotowia.

Krótko mówiąc: według rachuby uczonych życie we wielkich skupiskach ludzkich byłoby naprawdę niemożliwe bez łączności kolejowej, samochodowej, tramwajowej, bez telefonów i elektryczności. A więc — koniec, jeśli nie świata, to naszego kochanego miasta, jest jednak możliwy. Śledztwo wykazało jakie były bezpośrednie przyczyny pożaru na poczcie krakowskiej. Krąży pogłoski, że cała ta historia to wynik... kompensacji etatów. Po prostu cofnięto etat strażnika, który pilnował sal. Może te pogłoski się nie sprawdzą. Może były inaczej. Jedno wydaje się pewne. U źródła całej katastrofy tkwi jakieś niedbalstwo, jakiś brak zabezpieczenia, brak urządzeń, czy dozoru. Sprowadzamy z zagranicy maszyny do mięsa, ale urządzenia zabezpieczających względnie sygnalizujących o pożarze — nie. Choć są takie. Bo i po co? Istnieje sprawa kawsze... Oto w środku miasta sklep powstaje sklep samoobsługowy — spożywczy. Wprawdzie towaru jest niezbyt wiele i częściej u nas kolejką za wieloma podstawowymi artykułami — ale: marzenia o zachodniej cywilizacji muszą się przecieć jakoś spełnić. Będzie więc sklep cudzo-

niezwykle artystycznie ozdobione ściany, wspaniałe lady, ekstra wystawy, luksusowe gabloty. I co ważniejsze ten sklep będzie próbą naszej uczciwości (he,he!). Towary (paczkowane) — jeżeli w ogóle znajdują się na wspaniałych półkach — będziesz sobie sam wybierał. Oto ideał nowoczesności. Obsługa niepotrzebna — po co? Mało to teraz pracy w całym kraju. Chociaż... Złosiłwi twierdzą, że w sklepie obsługa będzie chodzić „po cywilnemu”. Cóż to znaczy? Otóż złosiłwi mówią, iż MHD tworzy własne kadry bezpieczeństwa, których zadaniem będzie doglądanie uczciwości klientów. A więc wielu bezrobotnych fachowców znajdzie tu pracę. Inni mniej złosiłwi twierdzą coś wręcz przeciwnego: w sklepie nie będzie żadnej „bezpieki” tylko urzędnika chwytającego złodzieja za rękę. Automaty. Technika — proszę obywateli. Zachód! Ale na poczcie brakowało tej techniki. Brakowało urządzeń sygnalizujących o pierwszych oznakach pożaru. Bez telefonów — powiadają niektórzy — można żyć. A jakże! A że z takich samych przyczyn, jakie zaistniały na poczcie, może zapalić się elektrownia, remiza tramwajowa, czy jakaś inna instytucja tzw. użyteczności publicznej — to dziury w niebie nie będzie. Za króla Cwiczka ludzie żyli bez komfortu i... Właśnie w tej sekundzie zamilkło radio, które do tej pory nadawało przyjemną

muzykę. Pocięszam się, że to tylko drobne „przyczyny techniczne”, że tam się jednak nic nie spaliło. Chociaż kto wie... Kometa wisi o tej porze nad północną częścią miasta. Może koniec świata bliski — jak to przepowiadał kioskark, u którego kupuję gazetę.

P.S. Radio znowu działa. Nie jest tak źle na tym świecie. Przed chwilą podłuchałem niezwykle interesującą rozmowę: dwie paniusie pod moim oknem twierdziły, że pożar na krakowskiej poczcie to dzieło zemsty. Zemsty na władzach za podwyższenie cen alkoholu. Ale ja nie wierzę w plotki. Tak samo jak nie wierzę w koniec świata, i w to, żeby u nas ludzie odczyli się pijaństwa.



ABC SZTUKI NOWOCZESNEJ

Adam Kotula
Piotr Krakowski

15)

FUTURYZM

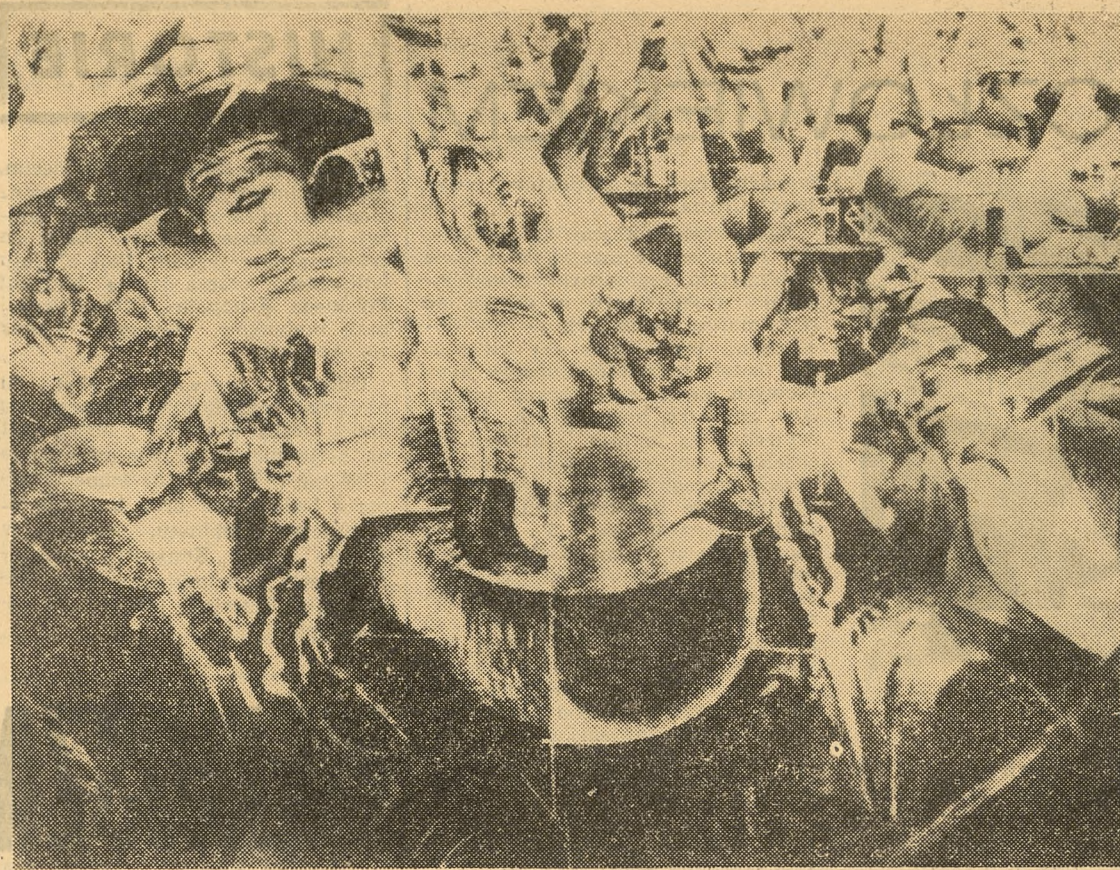
(ciąg dalszy)

W 1910 r. przyłącza się do ruchu futurystycznego grupa malarzy z włoskiej awangardy — Gino Severini, Carlo Carra, Luigi Russolo, Giacomo Balla i Umberto Boccioni. 11 lutego 1910 r. ogłaszają „Manifest malarzy futurystów” a 11 kwietnia „Manifest techniczny”. Umberto Boccioni, który obok malarstwa uprawiał także rzeźbę publikuje 11 kwietnia 1912 r. „Manifest techniczny rzeźby futurystycznej”. W lutym 1912 r. grupa organizuje wspólną wystawę w paryskiej galerii Bernheim-Jeune. W przedmowie do katalogu wyjaśniają zasady futurystycznego malarstwa, powtarzając tezy swoich poprzednich manifestów. W rok później, 29 lipca 1913 r., Apollinaire, który nie pozostawał obojętny na żadne nowatorskie poczynania, wydaje w Mediolanie „Manifest-syntezę” — „Antytradycja futurystyczna”.

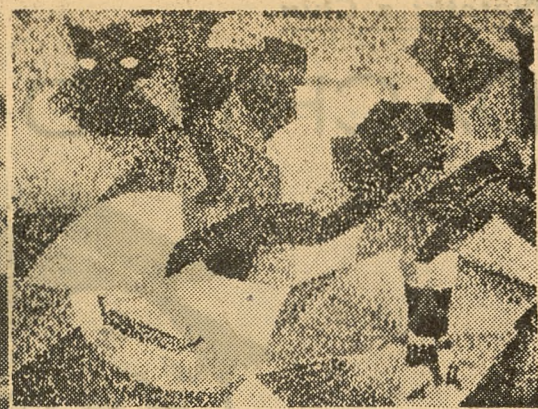
„Obrazy nasze są futurystyczne — głoszą malarze nowej szkoły — gdyż są rezultatem ściśle futurystycznych koncepcji etycznych, estetycznych, politycznych i społecznych”. Podejmując hasła rzuczone przez Marinetti'ego, pragną uwolnić malarstwo i rzeźbę od ciężącego na nich greckiego rzymskiego ideału piękna szczególnie żywotnego we Włoszech, ojczyźnie renesansu. Chcą „zniszczyć kult przeszłości”, „zniszczyć dzieła Rembrandta, Goya i Rodina”. Głoszą bunt „przeciwko fanatyzmowi i snobizmowi kultu antyku”, który hamuje rozwój sztuki we Włoszech, „przeciwko tyranii słów, harmonii i „dobrych smak”. Występują przeciw wszelkiemu naśladownictwu, przeciw tradycyjnym formom i barwom, broniąc całkowitej wolności twórcy, wysławiając oryginalność pod każdą postacią. „Wypędzić precz z terenu sztuki wszystkie zużyte motywy i tematy. Odtwarzać i sławić współczesne życie nieustannie i burzliwie przekształcane przez zwyczajną naukę” — oto cel, jaki stawiają futurysty sztuce XX wieku.

Sceny z życia nowoczesnego miasta a także najbardziej prozaiczne wynalazki cywilizacji przemysłowej — pociągi, parowce, stalowe mosty, wprowadzili do malarstwa już impresjoniści; futurysty przejęli od nich, kult czystego koloru oraz koncepcję sztuki czysto subiektywnej, młającej na celu odtwarzanie wrażeń artysty. „Malarstwo i wrażenia to dwa nierozdzielne słowa” — twierdzą futurysty, chociaż główny nacisk kładą nie tyle na wrażenia zmysłowe, co na „stany duszy”. Korzystając z doświadczeń impresjonizmu przeciwstawiali mu się jednak pragnąc zrealizować nową, jedyną ich zdaniem właściwą syntezę formy i barwy, tematu i stanu duszy. Chcieli ukazywać, nie jak impresjoniści migawkowy, statyczny obraz przemijającej chwili, stan momentalny danego zjawiska, lecz przejście od jednego stanu do drugiego, tzn. ruch, następstwo zjawisk w czasie, innymi słowy nie jakiś szczególny moment rzeczywistości ale syntezę wszystkich momentów, wszystkich zmian jakie następują w czasie i przestrzeni, wszystkich przeobrażeń jakim ulegają kształty i barwy. Impresjoniści ukazywali deformacje jakim ulega przedmiot pod wpływem światła i drgania atmosfery, futurysty pragnęli odtworzyć także deformacje powodowane przez ruch, gdyż „ruch i światło niszczą materialność ciała”.

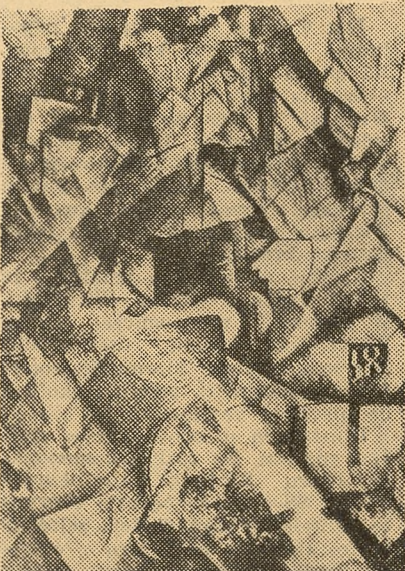
(c. d. n.)



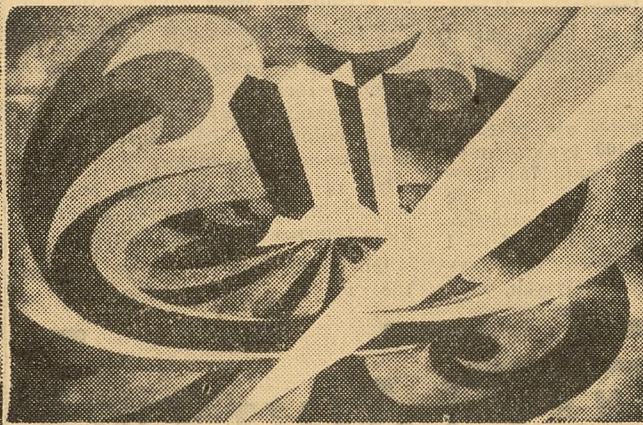
UMBERTO BOCCIONI: ŚMIECH (1910)



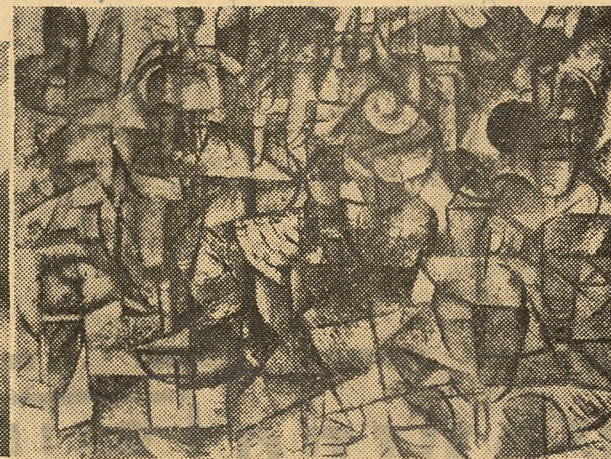
U GÓRY:
G. SEVERINI: CZARNY KOT (1911)
U DOŁU:
G. SEVERINI: MARTWA NATURA (1910)



C. CARRA:
SIŁY ODŚRODKOWE (1912)



G. BALLA: ŚPIEW PATRIOTYCZNY NA PLACU
W SIENIE (1914)



C. CARRA: RYTM PRZEDMIOTÓW
(1911)

OBYCZAJE

Dla kogo pisać? Oczywiście nie dla analfabetów. Tak przynajmniej myślałem. Okazuje się jednak, że felietony moje czytają między innymi także analfabeci, do tego bez poczucia humoru. Faceci, którzy nie potrafili odróżnić czarnego od białego i wszystko im się wydaje szare. Oto napisało kilku takich listów do „Zdarzeń”. Napisał jeden — pełen oburzenia na drwiący mój felieton pod tytułem „Pupa i historia” z 5 numeru. Przypomnę: był to felieton, w którym usiłowałem wykić pewne metody „nowej propagandy” aprobując np. lądki i operetkowe szlagierki na poważnych pierwszomajowych akademiach. Ponieważ felieton był jedną wielką złośliwością — faceci już tego nie pojęli. Faceci wzięli na serio moje zachwalanie nagich tydek i pupy. Faceci zresztą zaskatani, bo w ich listach nie znalazłem błędów ortograficznych. I dlatego tym groźniejsi.

Felietoniście wolno wiele, ale nie wszystko. Jeżeli pisuję felietony pod stałym tytułem „Obyczaje”, obowiązują go one także. W ramach tych obyczajów autor może sobie pozwolić na operowanie słownictwem wszystkich warstw, a także ulicy, jeżeli o niej pisze. Natomiast gdy czytelnik siada do stołu i bierze pióro do ręki, by — nie zrozumiałem — zacząć się na wybrzydzać przy pomocy słów doboranych specjalnie na tę okazję, w typie: baran spod „Baranów” z piwnicy, taki nieogolony brudas, chuligan, który chce zdrowemu (jak widać z listu! — przypisek mój) jeszcze na ciele i umyśle robotnikowi i chłopu dać nową moralność... itd. Nie spostrzegł, że występowałem właśnie w obronie dobrego smaku — choć wiem, że jest on właśnie nakierowany na szmonces i operety — owego robotnika i chłopca, nie mówiąc o inteligencji pracującym. Występowałem i występu-

DLA KOGO?...

ję przeciwko szmirze, przeciwko pornografii i zepsuciu, przeciwko złodziejstwu i chuligaństwu, obojętnie — cywilnemu czy umundurowanemu. I oto znalazł się obrońca moralności, który mi brodę przyprawił i szyję zbrukał. Ha, co! Patrzeć ja do lustra raz i drugi, ale brody jako żywo nie widzę. Postanowiłem nie golić się przez dwa tygodnie. Wyrosła, a jakże, czarna i gęsta, mogłoby z niej wyjść coś w typie brody Ludwika Flaszyna, który nie pomny na podobne zaczepki na ulicy — brodę nosi i będzie nosił... Z tymi zaś spod „Baranów” znam się, owszem, nawet raz byłem w ich piwnicy, wyszedłem nie zachwycony, choć owszem, nie mam nic przeciwko tej młodzieży.

A tu, moiściewy, taki nieogolony baran wypisuje w „skandalicznej formie literackiej” — obrzydliwe treści”. Ejże, szefie! A czytać to Pan po polskiemu potrafisz? Bo coś mi się widzi, żeś Pan powinien raz jeszcze zajrzeć do tamtych „Zdarzeń”, a ton, przepraszam, którym właśnie do Pana się zwracam, jest jako żywo — zapożyczony z Pańskiego listu. Przyjemnie Panu?

Drugi Pan obraził się na „Zdarzenia” za mój felieton „Erotyka i przeczulenie”, używając wobec autora równie rzeczowych epitetów jak ów „nieczytelny”. Że niby takie artykuły ośmieszają nie tylko autora ale i redakcję. A mówiłem tam o sprawach drażliwych, o zwyrodnieniu pewnej części młodzieży, o rozgoryczeniu kobiety, której list cytowałem, o rozgoryczeniu na mężczyzn, żerujących na dziewczęcej naiwności, sprowadzających dziewczęta na złą drogę. I to „Jota” skłoniło do zapytania redakcji, czy przypadkiem nie choruje na katar. Pod obydwoma listami widnieje podpis: Kraków. Coś mi się zaczyna zdawać, że to ten sam Kraków,

o którym tak pięknie niegdyś pisywał Boy, i że moi korespondenci są związani więzami krwi z pewną „arcydobrą starą ciotką”. To jest ten Kraków, który z jednej strony tonie w paździkowej dewocji, z drugiej hoduje niezłe tradycje z pewnych sfer swego żywotika...

To przecież tylko tu można jeszcze spotkać starsze wyfioczone panie, które na widok nieco większego dekoltu u młodej dziewczyny wybuchają stekiem plugawych obelg na całą młodzież polską. Sam niedawno byłem świadkiem takiej sceny. Młoda studentka historii sztuki, mężatka, ciesząca się pięknym i zdrowym dzieckiem, dziewczyna nader poważna i wysokiej moralności — została obсыpana przez krakowską dewotkę „słowami z ryszotki”, jakby to powiedział zacytowany pan Jot. Uśmiechnęła się tylko z politowaniem. Ostatnio moja żona naraziła się podobnej moralnej osobie, aplikującej co najmniej dwadzieścia wyzwick: od takich owakich do owakich takich i z powrotem. Kultura, jak widać, obowiązuje!

Ale po cóż mam tu drwić w taki sposób! Znowu jakiś Jot czy inny „nieczytelny” napiszą list, w którym się oburza, że popieram takie ciotki. Będę więc mówić wprost: piszę dla ludzi odróżniających literę a od z. Różnym Jotom i innym odpowiadać odtąd nie będę, bo szkoda papieru. Uważam, że gdzieś jak gdzie, ale specjalnie w Krakowie nagromadziło się tak wiele kołtunstwa i głupoty pomieszanej z ciemnogrodem, że kto chce z tymi plastrami na ciele walczyć — musi być przygotowany na naskoki, jakie zaprezentowali moi dwaj zacytowani Krakowscy Obrońcy Moralności i Kultury. Przytoczyłem te listy nie

po to, by się załatwić z dwoma ich autorami. Mogłem je przemilczeć, wrzucić do kosza. Ale one symbolizują pewien typ mentalności, groźny, ponuracki, wsteczny. Niejedna redakcja, niejeden człowiek ugiął się pod milczącym na ogół terrorem krakowskiej opinii, której dwa kwiatki miałem okazję zaprezentować.

Kołtun, przeciwko któremu tak zjadale walczył tu Polewka, nie przebiera w środkach walki o swoje. Kołtun robi opinię, kołtun deprawuje niekołtuna. Kołtun umie splunąć przed kobietą, o której np. wie, że żyje z nieślubnym mężem, ale kołtun nie wyciągnie pomocnej ręki do dziewczyny, której powinna się noga, która jeszcze mogłaby wyjść na brzeg. Kołtun czeka aż człowiek się przewróci, potem ma satysfakcję, gdy może syknąć: co za plugawość! Nie wie, że sam jest najplugawszy z plugawych. Kołtun obraża się i mruczy, gdy zobaczy mężczyznę w krótkich spodenkach na ulicy, ale nie drgnie mu ręka, gdy pierze swoją żonę, gdy kradnie społeczne mienie, gdy oszukuje na wadze i zmienia asortymenty. Kołtun jest moralny po swojemu. I dlatego kołtun będzie szczerzył kły, gdy ludzie, którym coś leży na sercu — będą chcieli mówić o drażliwych sprawach otwarcie. Ja do takich pragnę się zaliczać po ostatnie moje tchnienie. Kiedy mnie kto zapyta: dla kogo piszesz? Odpowiem: dla wszystkich — z wyjątkiem kołtuna. I jeżeli nie uważam za stosowne podejmować na tym bruku dzieła całego Polewki, to jego kampanię przeciwko kołtunowi chętnie poprowadzę dalej. Tak mi dopomóż Bóg, amen.

BOHDAN DROZDOWSKI

Nasze konkursy

Wystarczy przesłać krótki tekst z kilku słów aby stać się posiadaczem jednej z cennych nagród. „Lajkonik” wspólnie z redakcją „Zdarzeń” ogłasza następujący

K O N K U R S

Należy wymyśleć slogan-hasło reklamujący grę liczbową „Lajkonika”. Treść hasła musi być krótka, dowcipna, propagandowo chwytliwa.

Pomysły należy nadsyłać na adres redakcji Zdarzeń Kraków, Wielopole 1 do dnia 24 VIII. Za najlepsze hasło będą przyznane trzy nagrody ufundowane przez „Lajkonika”:

1. nagroda: wodoszczelny zegarek francuski „Herma”
2. nagroda: elegancka teczka skórzana
3. nagroda: wieczne pióro

W skład jury wchodzi przedstawiciel redakcji „Zdarzeń” i przedstawiciele Lajkonika w osobach Zbigniewa Skubackiego i Jana Frodymy.

Dyrekcja „Lajkonika” zastrzega sobie prawo wykorzystania innych haseł nadesłanych na konkurs przez czytelników, przy czym za każde zaaprobowane hasło autor otrzyma 100 złotych.

Dla lepszego zorientowania naszych Czytelników podajemy jedno z haseł, które nadesłano na konkurs Liczyrzepki wrocławskiej: „Szczęście ci po piętach depce, Zagraj tylko w Liczyrzepkę”

Nie jeden z uczestników gry „Lajkonika” miałby ochotę wykupić większą ilość kuponów naraz i tym sposobem poprobować szczęścia

Dajemy taką okazję bezpłatną

Lajkonik przeznaczył trzy dalsze nagrody a mianowicie 100 kuponów, 75 kuponów i 50 kuponów bezpłatnie.

Należy przesłać odpowiedź do dnia 19 VIII br na adres redakcji „Zdarzeń”, Kraków Wielopole 1 na pytanie:

Ile padnie czwórek w XX jubileuszowej grze „Lajkonika”

Czytelnicy, którzy zgadną liczbę czwórek, wezmą udział w losowaniu. Otrzymane nagrody w postaci 100, 75 i 50 kuponów bezpłatnych pozwolą nagrodzonym czytelnikom grać w XXI ciągnięciu, zwiększając przed nimi szanse wygrania trójek lub czwórek a może nawet piątki.

Jak widać oba konkursy są pasjonujące. Redakcja „Zdarzeń” prosi, by Czytelnicy nadsyłali odpowiedzi na pierwszy konkurs do dnia 24 VIII włącznie, na drugi do dnia 19 VIII włącznie.

Nasze konkursy

Ankieta redakcji „Zdarzeń”

W numerze 13 „Zdarzeń” zwróciliśmy się do naszych Czytelników z następującymi zapytaniami:

1. Który z narodów darzę największą sympatią?
2. Do którego z miast polskich najchętniej wyjeżdżam?
3. Który z krajów najchętniej chciałbym zwiedzić?
4. Czy chciałbym z Polski wyemigrować?

Ankieta ma duże powodzenie, większość odpowiadających czytelników ogranicza się jednak tylko do wymienienia kraju czy miasta. Nieliczni natomiast uzasadniają powody takiej czy innej decyzji.

Jeśli ankieta ma przynieść pełne wyniki, odpowiedzi winny być krótko uzasadnione. Dlatego prosimy Czytelników o nadsyłanie takich uzasadnień. Przytaczamy dla przykładu takie dwie odpowiedzi zkrótkim uzasadnieniem.

P. Stanisława Babiańska, Kęty, Kościuszkę 21.

„Najchętniej wyjeżdżam do Cieszyna: nie widać tutaj tyłu pijaków, chuliganów, w sklepach panuje grzeczność, w restauracjach, autobusach i w ogóle wszędzie doświadcza się wiele uprzejmości. Słowem miasto kulturalne”.

Tadeusz Lihera, Kraków.
„Chciałbym wyemigrować, owszem i wszystko jedno gdzie, czy na Wschód czy na Zachód, byle znaleźć kraj bez złodziei, morderców, chuliganów, spekulantów, łapowników itd., itd. Nie wiem tylko, czy takowy istnieje”.

Rozmowy z Czytelnikami

PTTK Oddział w Hucie pisze:

Panie Redaktorze

W numerze 11 Pańskiego Pisma czytelnik skarży się, że mieszkaniem Krakowa nie umożliwia się zwiedzania Huty im. Lenina. Skarga ta nie jest w pełni uzasadniona. Mieszkańcy Krakowa a zwłaszcza uczniowie szkół średnich i studenci wyższych uczelni krakowskich bardzo często zwiedzają wydziały produkcyjne kombinatu. List Waszego Czytelnika ma zapewne źródło w nieznanym mi wśród szerszego ogółu trybu załatwiania formalności, związanych ze zwiedzaniem huty im. Lenina.

Informacje na ten temat m. in. zawiera wydany ostatnio z naszej inicjatywy Przewodnik po Hucie im. Lenina i mieście Nowa Huta. Prosimy uprzejmie o łaskawe poinformowanie czytelników „Zdarzeń” o naszym wydawnictwie i o omówienie w nim sposobów uzyskania zezwoleń na zwiedzanie Huty im. Lenina.

(Sekretarz W. Bieroń, prezes mgr T. Krzypewski)

M. GRZELAK, PRABUTY. Cieszymy się przede wszystkim, że dał Pan znać znowu o sobie. Cenimy sobie wielce częstsze, niż jednokrotowe korespondencje. A propos Picassa. Ma on swoich gorących wielbicieli i zdecydowanych wrogów. Pański pomysł ankiety w

sprawie Picassa rozpracujemy w jednym z następnych numerów.

HENRYK BOJARSKI, ZAKOPANE. Bystre. Pisze Pan: „Pismo Wasze przypadkowo wpadło mi w ręce. Przyprowadzi je jednemu z kolegów tu do Sanatorium gruźlicy. Kostnowawowej matki. Gdy je przeczytałem, od razu mi się spodobało”.

Wiele listów dostajemy z sanatoriów i szpitali na temat naszego pisma. Prosimy o przedstawienie swych dążeń pod naszym adresem. Prosimy zwłaszcza o uwagi, co w „Zdarzeniach” interesuje, co chciałby chorzy widzieć. A może by tak Pan przeprowadził ankietę wśród chorych? Gdyby Pan wyraził zgodę, prześlemy kilka egzemplarzy do rozprawienia wśród chorych. Bylibyśmy bardzo wdzięczni. Pragnęlibyśmy wiedzieć, co moglibyśmy jeszcze wprowadzić pod kątem zainteresowań ludzi chorych. Czekamy na odpowiedź.

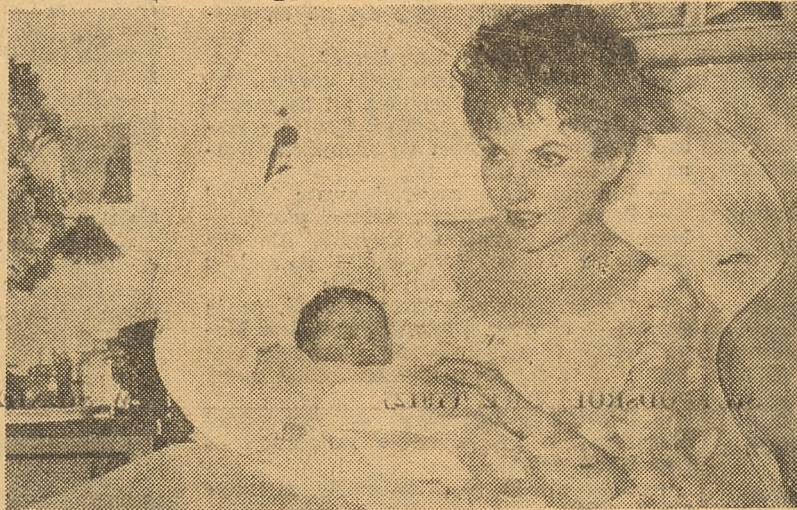
MIECZYSLAW WAŻNY, TARANÓW, ul. Przecz. Strusińska 25. Jesteśmy mile zaskoczeni Pańską stałą korespondencją. Mamy w zanadrzu szereg opowiadań, brak miejsca sprawia jednak, że tylko rzadko możemy sobie pozwolić na ich umieszczenie. Gdyby Pan był kiedyś w Krakowie, prosimy o odwiedzenie naszej Redakcji. Pragnęlibyśmy nawiązać współpracę, rozszerzyć ją poza pytania konkursowe.

WŁADYSŁAWA KUCHARSKA, KRAKÓW, Wierzyńska 72. Pisze Pani: „Jestem stałą Czytelniczką „Gazety Krakowskiej” i z chwilą kiedy ukazał się 1-szy numer „Zdarzeń”, kupiłam je z ciekawością o zapowiedzianej powieści o Mazurkiewiczach. Znalazłam w nich dużo ciekawych rzeczy wesołych i poważnych i w ten sposób jestem już posiadaczką 13 numerów”.

Bylibyśmy wdzięczni, gdyby Pani poddała analizie dotychczasowe numery „Zdarzeń”, co się Pani w nich podoba, a co innego chciałaby Pani widzieć. To pomaga w redagowaniu. Cenimy sobie każde słowo krytyki, choćby najostrzejszej. Nie oczekujemy komplementów, choć nie możemy się na ich brak skarżyć.

ST. WOJTASIK, KUCÓW, poczta Kleszczów. Na razie w wykazie poczytanych „Zdarzeń” nie figuruje, gdyż załatwienie tej sprawy wymaga czasu. Jedynym źródłem zakupu są więc i będą jeszcze przez pewien czas kioski „Ruchu”.

Na życzenie Czytelników



Lollobrygida ze swym synem

Zdarzenia sprzed 50 lat

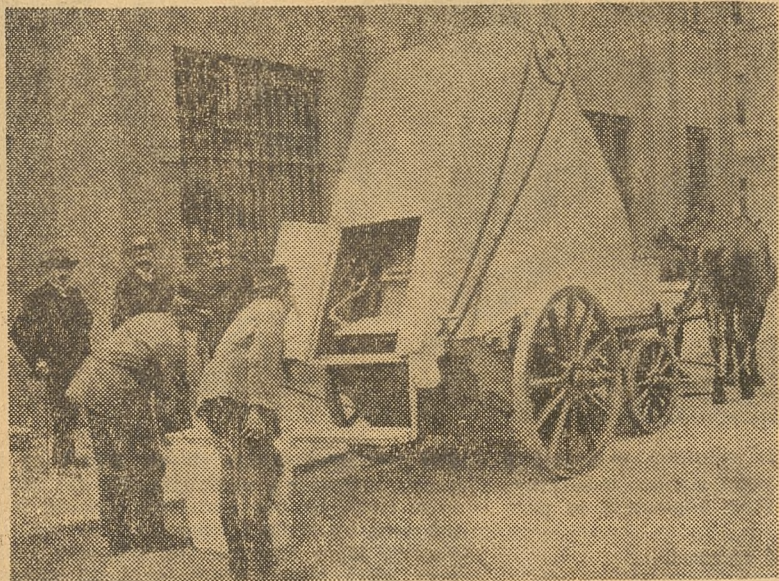
Czyszczenie Krakowa

Sprawa czyszczenia miasta Krakowa, sprawa tak doniosła ze względu na zdrowotność publiczną i porządek zewnętrzny, weszła wreszcie na drogę realizacji, dzięki powołaniu przez radę miasta do życia miejskiego zakładu, specjalnie do tych celów przeznaczonego. Zakład czyszczenia miasta, pozostający pod kierunkiem dzielnicowego i energicznego naczelnika straży ogniowej p. Nowotnego, wziął się rażno do dzieła a jako jeden z pierwszych celów wytknął sobie uregulowanie

dowodnie próby dotychczas czynione.

Wóz, przeznaczony do wywozu śmieci, zbudowany jest prawie w całości z żelaza. Żelazne wiaderka wypełnione popiołem i zmiotkami wstawia się do otwartego przrządu w rodzaju windy, który poruszany za pomocą korbki podnosi wiaderko w górę i tam je wypróżnia. Wóz jest podczas tej czynności dokładnie zamknięty, co wyklucza wydobywanie się pyłu.

Windowanie trwa 30 sekund, po-



wywozu popiołu i zmiotków domowych w sposób odpowiadający wymogom higieny i czystości.

W tym celu sprowadzono do Krakowa na próbę dwa wozy z fabryk zagranicznych, okazało się jednak, iż nie odpowiadają one w należytej mierze przeznaczeniu, wobec czego okazała się potrzeba obmyślenia nowego, odmiennego systemu. I na chwałę krakowskich przemysłowców stwierdzić trzeba, że właśnie wóz wybudowany w tutejszej ślusarni p. Kazimierza Kosobudzkiego a na podstawie projektu pp. Kazimierza i Piotra Kosobudzkich okazał się szczególnie do celu wywozu śmieci praktycznym, co wykazały

mięci zaś zbiornik zawartość około 30 takich wiaderek.

Zauważyć jeszcze należy, że wóz choć ciężki, posuwa się po ulicach bardzo cicho, opatrzone jest bowiem elastycznymi resorami.

NOWOŚCI ILUSTROWANE 17 sierpnia 1907, Nr 33 Kraków.

Zderzenie z dniem dzisiejszym

Byłoby fantastycznym zdarzeniem, gdyby genialny wynalazek polskiego ślusarza sprzed 50 lat zastosować obecnie w Krakowie. W Warszawie zastosowano ostatnio inny niemniej genialny wynalazek sprzed wieku — pieszycy posłańców.

(Dokończenie ze str. 5)

— podobno miała mnie uczynić jedynym ze spadkobierców swego majątku. (Jak brzmiał testament tego nie wiem, gdyż go nie czytałem.)

Zrezygnowałem z tej darowizny tym bardziej, że wille zajmuje „Fundusz Wczasów Pracowniczych”, nie płaci czynszu ani grosza, a ja nie rozporządzam tak olbrzymią kwotą jak wymierzony podatek spadkowy.

Chwilowo nawet na Podhalu nie wyrabiają rękawów, z których można by wytrząsać pieniądze.

Mimo to odbyła się rozprawa sądowa i Sąd nie zatwierdził ważności testamentu i spadkobiercami są siostry zmarłej a to Irena P. i Aurelia S.

Ośmielam się zwrócić uwagę na jeszcze jedną sprawę. Dla powagi władzy Wydział Finansowy winien wprawdzie zbadać sprawę i później dopiero przesłać wymiary, upomnienia.

Zastanawiam się nad tym — dlaczego, na jakiej podstawie Urząd Skarbowy mać mój spokój. Wprowadza zamieszanie w życiu wolnego obywatela Polski Ludowej.

Oprócz tego zmusza urzędników do trwonięcia cennego czasu na pisanie niepotrzebnych wymiarów, upomnień. A przecież urzędnicy powołani są do wypełniania obowiązków wobec Państwa i Obywateli, a nie na marnowanie czasu, na zadreczanie obywateli, gdyż utrzymuje ich trud chłopca i robotnika.

Jan Wiktor

Kraków, dnia 25. V. 1957 r.”

W dwa tygodnie przyszła odpowiedź z Nowego Targu: „Pobór podatku od nabycia praw majątkowych ze spadku po Szalay H., został wstrzymany”.

SKANDAL W NOWYM TARGU

Mimo tego zapewnienia po dwu miesiącach ciszy, bez żadnego uprzedzenia przyszedł egzekutor, tym razem z Inspekcji podatków i opłat Oddziału Finansowego Prezydium Dzielnicowej Rady Narodowej „Stare Miasto” w Krakowie i sporządził protokół zajęcia ruchomości w mieszkaniu pisarza, a następnego dnia przysłał „Obwieszczenie o licytacji”, wyznaczając jej termin na 22 sierpnia 1957 r.

No cóż? Co kraj to obyczaj. Są podobno takie regiony na naszym pięknym globie, gdzie honoratorom przy dzwinkach bębnow wkłada się kolczyki z kości słoniowej do nosa, jak widać gdzieś indziej przy stukaniu młotków licytacyjnych pozabawia się ich krwawo zapracowanego mienia.

Gorzkiego posmaku nabiera fakt, że Szczawnickie Zbiory Sztuki Ludowej Podhala, gromadzone przez pisarza od wczesnej młodości zostały poważnie uszczuplone przy dewastacji jego mieszkania podczas okupacji, teraz grozi to zbiorom krakowskim.

Po 45 latach pracy pisarskiej, w 67-mym roku życia, będzie musiał zaczynać od nowa.

Wszelkie ciosy od życia przyjmował z godnością i spokojem i ten, o ile go znam, przyjmie z równą pogodą ducha. Zmęczony beznadziejną i nierówną walką z Wydziałem Finansowym w Nowym Targu prawdopodobnie nie zabierze głosu w obronie swych praw artysty i człowieka. Dlatego właśnie na nas przysiadł tego serdecznego człowieka i pisarza spada obowiązek nie dopuszczenia do wyrządzenia mu krzywdy.

Tu nasuwa się pytanie. Czy zastanowił się kierownik Wydziału Finansowego w Nowym Targu w czy-

je ręce przejdzie biurko pisarza, na którym pisał o krzywdzie chłopów w pamiętnych dniach Kasinki i Łapanowa; w czyje ręce przejdą sekretarzyki i szafy, w których spoczywał pół wieku żywej kultury polskiej w korespondencjach Berenta, Zagadłowicza, Arkiego Bożka, Solarza, Paderewskiego, Kleina, Żeromskiego, Wyspiańskiego, Rodziwiczówny, współczesnych pisarzy i działaczy i jego własne rękopisy.

Pewne jest, że żaden uczciwy Polak nie tknie mienia zasłużonego artysty w dniu jego licytacji. Jest również niewątpliwe, że kierownik Wydziału Finansowego A. Fuchs nie musiał przeciągać struny do tak dramatycznego momentu dla zabezpieczenia interesów Państwa, gdyż mógł wymieniony podatek od spadku za bezpieczkę na ruchomościach pozostałych po pani H. Szalay.

W patosie maksymalizmu werbalnego utraciliśmy proporcje. Co gorętsi ludzie po październikowej wiadomości odnajdują je na dnie swoich serc. Niechże i kierownik Fuchs Augustyn z Nowego Targu spróbuje — może się znaleźć.

Jeszcze jest kilka dni czasu. Jeszcze do kompromitującej krzywdy można nie dopuścić.

Warto przypomnieć, że znane są u nas inne formy okazywania czci artystom w rocznicę ich pracy niż ta, którą Wydział Finansowy w Nowym Targu zastosował. Ale i ta przejdzie do historii.

P. S.

Tak wzruszająco potrafimy mówić i pisać o artystach po śmierci, zrobimy coś dla nich za życia. Nie czekajmy na pojawienie się ducha wśród ruin pisarskiego warsztatu.

CZESŁAW WITKOWSKI

NIE MA ZABAWY

bez

PANA WŁADZIA

(II)

— Spodziewam się — skrzywił się Parkanowski nie bardzo zadowolony z wiadomości, że Mazurkiewicz zna jego interesy. — I co dalej?

— Mam do ciebie pewną prośbę.

Parkanowski naraz zmobilizował się wewnętrznie. Przestał lekceważyć Mazurkiewicza i zaczął się mieć na baczności. Za wszelką cenę usiłował przypomnieć sobie czy wczoraj w nocy nie palnął jakiegoś głupstwa.

— Proszę — powiedział bez entuzjazmu. Mazurkiewicz potarł czoło jak gdyby chciał zebrać myśli. Czuł wlepiony w siebie uważny wzrok Parkanowskiego.

— To nie takiego — rzekł nagle ze śmiechem.

Parkanowski wzmógł jednak czujność. Dopiero teraz uprzytomnił sobie, że Mazurkiewicz przyszedł do Kwasiburskiej specjalnie po niego wiedziony niespotykaną wśród mężczyzn troskliwością, że wczoraj Jolka zrobiła wszystko, aby nie wyjechał z Krakowa. Teraz wydało mu się to naraz bardzo podejrzanym. Co on kombinuje? przeleciało mu przez głowę. On ma jakiś ukryty cel.

Mazurkiewicz bawił się bibulką składając ją na części, to znowu rozkładał i gładził starannie prostując zagęcia.

— To nie takiego — powtórzył i spojrzał bystro na Parkanowskiego. — Idzie o to abyś pomógł mi w pewnym interesie. Nie sprawi ci to najmniejszego kłopotu.

— Pieniądzy nie pożyczam — powiedział Parkanowski, aby odrazu wyjaśnić sytuację, gdyby chodziło o sprawy finansowe.

— Ach, nie — Mazurkiewicz zmiażdżył bibulkę i rzucił do popielniczki.

— A więc co?

Znam gościa, który ma zamiar kupić dobry obiekt w Zakopanem. Mam taki obiekt, tylko cały szkopał w tym, że facet, właściciel tego obiektu wyjechał i wróci dopiero za dwa tygodnie. A tymczasem ten gość nie chce czekać. Transakcja musi być ubita dosłownie za kilka dni.

— Nie mam zamiaru sprzedawać mojej willi — oświadczył Parkanowski.

— Nie o to idzie — skrzywił się Mazurkiewicz ze zniecierpliwieniem. — Proszę mnie wysłuchać do końca.

Parkanowski rozsiadł się wygodnie na krześle. Uspokoił się gdyż nie wiedział w czym mógłby być pomocny Mazurkiewiczowi. Willi nie sprzedaje, pieniądze nie pożyczka. Nie było zatem mowy o żadnym niebezpieczeństwie. Zresztą zanadto cenil swój warszawski spryt i talent do robienia pieniędzy, aby zbyt długo przywiązywać wagę do tego co może wynikać z rozmowy z drobną krakowską płotką.

— No, no — rzekł, udając zainteresowanego.

— Chciałbym abyś poszedł ze mną do faceta, przedstawił się jako właściciel willi do sprzedania i pozwolił nam obejrzeć ją w Zakopanem.

— Przecież nie zamierzam nie sprzedawać... — Parkanowski podniósł rękę do góry i opuścił ją na stół.

— Wiem. Ale jak tego nie uczynisz moja transakcja przepadnie, stracę dużą prowizję. Jest czego żałować. Bo ta moja góra forsy kupi inny obiekt. A tak — Mazurkiewicz nachylił się nad stołem i zaczął mówić gorąco — on będzie myślał, że to ta willa, obejrzy ją sobie, ubijemy interes, a później tamten facet wróci i sprzedamy mu inną willę, mówiąc na przykład, że twoja ma grzyba czy coś w tym rodzaju.

— Więc ja mam odegrać rolę podstawowego... taki frajer jakiś specjalnie się nazywa w języku przestępców...

— Możliwe. Niczym nie ryzykujesz. Sprawa czysta. Nie chcę by mi sprzątnięto sprzed nosa dobrą prowizję. Po prostu przyjacielska przysługa.

— A co wy tu tak mało zarabiacie, że chwytnie się aż pośrednictwa w sprzedaży nieruchomości — pokręcił głową Parkanowski — to tu bida u was?

Mazurkiewicz rozłożył bezradnie ręce.

— Żyje z pensji. Trzeba coś dobić.

— Straszny kłops w tym Krakowie — Parkanowski rozejrzał się po ścianach restauracyjki z pogardliwą miną.

— Nie ma horyzontów. Do nieuczciwych afer nie chcę przykładać ręki.

— Nie ma dzisiaj afer uczciwych. — stwierdził Parkanowski — każdy pozytywny bohater gdzieś na boku kradnie.

— Ja nie mam tych możliwości. — rzekł Mazurkiewicz — dlatego jak mam na oku spokojny interes, chcę zarobić. Możesz mi w tym pomóc.

— A nie robisz ze mnie balona?

— Cóżes ty? — Powiedz mi, skąd wiesz że kupilem willę?

— Znajoma ma pensjonat naprzeciw twojego „Hiacynta”.

— Nawet nazwę znasz — rzekł z podziwem Parkanowski — jesteście żebraki ale wywiad macie dobry. No, dobrze — Parkanowski położył dłoń na rękawie Mazurkiewicza — ale jak coś skrewisz i będę mnie ciągał po sądach za jakieś głupie machlojki to strasznie mi się narazisz.

Mazurkiewicz położył rękę na sercu.

— Przysięgam, że nikt się o tym nie dowie. Czy sądzisz że ten facet co kupuje pragnie ażeby wszyscy o tym wiedzieli?

Parkanowski zaśmiał się jak z dobrego dowcipu.

— Taki głupi nie jest!

— Władasz zatem...

— Czy on mi uwierzy, że ja jestem właścicielem „Hiacynta”.

— Może masz jakiś papier!

Parkanowski klepnął Mazurkiewicza po ramieniu.

— Masz szczęście. W moim portfelu jest taki dokument.

Mazurkiewicz zatarł dłoń.

— Odechnąłem z ulgą. On się na to złąpie. Przeczekajmy te dwa tygodnie i później wszystko potoczy się normalnie. Idzie tylko o te dwa tygodnie. Teraz musimy się umówić co do szczegółów. Ile żądasz za „Hiacynta”?

— Ile żądam? — Parkanowski zastanowił się, czy w pytaniu tym nie ma jakiejś podchwytki ze strony Mazurkiewicza. Wolał dlatego powiedzieć inną cenę od tej, za którą kupił willę. — Niech będzie osiemset tysięcy!

— Za drogo! — rzekł Mazurkiewicz — interes musi się obracać w granicach pięciuset tysięcy.

„Hiacynt” jest willą pełnokomfortową, w doskonałym miejscu i ma duży ogród z laskiem — bronił swojej ceny Parkanowski.

— My mu powiemy pięćset. Bo tamten dom nie jest wart tyle.

Parkanowski pokiwał głową z politowaniem.

— To właśnie dobrze. „Hiacynt” ma kosztować osiemset, a ty później pokażesz mu dom za pięćset i bez grzyba, jak to sobie wykombinowałeś. Facet złapie się na to, spokojna głowa.

— Też racja. Mogę więc liczyć?

— Stoi. Ale jak będzie jakaś krewa...

— Mundek, nie potrzebujesz mi przypominać. Nie chcę nikogo narażać. Chcesz sprzedać? Wolno ci. A potem się rozmyślisz. Wolno ci! Cała historia.

— Pamiętaj że o czwartej muszę jechać!

— Zaraz to załatwimy. Kelner, płacić. — Mazurkiewicz sięgnął do kieszeni. Ale gdy zjawił się kelner Parkanowski powiedział z poczuciem warszawskiej dumy:

— Wy tu licha zarabiacie. Pozwól, że ja zapłacę — chwilę się cegielkowali, lecz Mazurkiewicz w końcu ustąpił i Parkanowski wyrównał rachunek dając kelnerowi spory napiwek.

— Pojedziemy taksówką — powiedział Mazurkiewicz, gdy wyszli z restauracji — i to już ja pokrywę.

— Wliczymy to sobie w koszty inwestycyjne, co?

Zatrzymali przejeżdżającego starego „Mercedesa” i ulokowali się wygodnie na tylnym siedzeniu.

— Aleje Słowackiego — rzucił adres Mazurkiewicz.

Zanim zastukali do drzwi na trzecim piętrze nowoczesnej kamienicy, Mazurkiewicz długo wycierał obuwie o żelazną wycieraczkę.

— Czemu tak czyścisz buty? — spytał zdziwiony Parkanowski.

— Zaraz, zaraz, miałem ci coś jeszcze powiedzieć.

— Zetrzesz sobie zelówki — uśmiechnął się Parkanowski, gdyż Mazurkiewicz w dalszym ciągu kołysał się na wycieraczce.

— Aha! Mazurkiewicz zniżył głos do szepotu — pamiętaj! Gotówka z rączki do rączki, i płatna w Zakopanem.

Parkanowski zrobił zdziwioną minę.

— Dlaczego w Zakopanem? Gotówka jest wszędzie do przyjęcia.

— Ale ty żądasz w Zakopanem.

— Mnie to obojętnie — zaśmiał się Parkanowski.

— I jeszcze jedno. Ja jestem twoim przedstawicielem. Wszystko ja załatwiam.

— Dobrze! Parkanowski nachylił się, by odczytać nazwisko na wizytówce przybitej pluskiewką do drzwi.

— To mieszkanie jego kochanki — wyjaśnił Mazurkiewicz, gdy Parkanowski wyszlabizował nazwisko jakiejś kobiety. — Jedna z jego licznych melin.

Na trzykrotne zapukanie w mieszkaniu powstał ruch. Ktoś przeszedł szybko i trzasnął wewnątrz drzwiami. Potem słychać było odsuwany rygiel i spuszczenie łańcuszka. Gdy drzwi ustąpiły, ujrzeli niskiego, starszego mężczyznę z pokaźną łysiną.

— A to pan! — powiedział na widok Mazurkiewicza i wpuścił ich do środka. Zamknął starannie drzwi i poprowadził ich do pokoju. Parkanowski, który jeszcze nigdy w życiu nie był w mieszkaniu krakowskiego mieszczucha, rozejrzał się z podziwem po ścianach. Od sufitu, prawie aż po parkiet wisiały obrazy w grubych złotych ramach.

Mazurkiewicz przedstawił swego towarzysza.

— Pan Parkanowski... a to pan magister — tu zamiast nazwiska wybąkał jakieś niezrozumiałe słowo.

— Magister? — wybuchnął śmiechem łysy — niech mi będzie magister — i potrząsnął

kordialnie ręką Parkanowskiego. — Czym mogę panom służyć. Proszę spocząć.

Usiedli na stylowych krzesłach wyścielanych jedwabiem.

— Więc, panie magistrze, przyprowadziłem panu właściciela wspaniałej willi w Zakopanem. Właśnie ten pan nosi się z zamiarem sprzedaży tej willi, a ponieważ pan ma zamiar coś takiego kupić — możecie panowie porozmawiać na ten temat.

Magister siedział z dłońmi założonymi na brzuchu i nogami splecionymi pod krzesłem.

— Bardzo mi miło, panie Władysławie, że pan pamięta o mnie — zwrócił się do Mazurkiewicza, a potem obracając głowę w kierunku Parkanowskiego rzekł. — Rzeczywiście chciałbym coś takiego kupić.

Parkanowski wyjął papierosnicę.

— Nie, nie palę. Popielniczka leży na stole — poprawił się na krześle magister.

— Mam do sprzedania „Hiacynt”.

— „Hiacynt”? — magister przymknął oczy — nie przypominam sobie.

— Na drodze do Białego, wybudowany w roku 1939, super komfort, dwadzieścia pokoi, — wyliczył sucho Parkanowski.

— O, tak lubię — klasnął w krótkie rączki magister — od razu widać, że pan jest człowiekiem interesu. Jedno zdanie i wszystko się wie. To lubię.

— Nie obciążony hipotecznie, duży ogród z lasem sosnowym, na końcu ogrodu urządzenia do hodowli lisów.

— To, to, to — klasnął magister — już mam pełne zaufanie.

— No, panie magistrze — zaśmiał się Mazurkiewicz — jeśli już kogoś sprowadzam do pana, to może pan mieć całkowite zaufanie.

Parkanowski wyjął z bocznej kieszeni marynarki portfel i wręczył magistrowi złożony arkusz papieru. Magister skwapliwie zapoznał się z dokumentem.

— Bardzo, bardzo — powiedział oddając papier — nie upłynęło pięć minut i już wszystko wiemy. Podobna mi się to bardzo. Lubię jasno postawiony interes. Ja to, pan to. Jeszcze gdy usłyszysz cenę, będę zupełnie szczęśliwy — balansował w powietrzu nogami, które gdy siedział na krześle nie sięgały do podłogi.

— Osiemset tysięcy!

Mazurkiewicz wpatrywał się w magistrą. Z radością zauważył, że suma nie zrobiła na nim żadnego wrażenia.

— To jest do zrobienia — powiedział magister.

— Właśnie — wtrącił Mazurkiewicz — pan jedzie za kilka godzin do Warszawy i tam będzie czekał na naszą decyzję. Bo przecież pan musi się jeszcze zastanowić.

— Oczywiście, oczywiście. W każdym razie interes podoba mi się.

— Willa jest droga, ale ma pierwszorzędne zalety.

— Miałem droższe oferty — rzekł dobrodusnie magister — bo wie pan, jak ludzie czują u kogoś pieniądze to ciągną i ciągną.

— Ja mówię cenę i nie spuszcza. Inni mają rozmaite sposoby, by uzyskać to co zamierzają. Ja nie.



— Lubię, lubię — magister zeskoczył z krzesła. — Jestem panu bardzo wdzięczny, panie Władysławie. Dam odpowiedź za parę dni.

Parkanowski wstał również.

— I jeszcze warunek. Gotówka na stół.

— Ma się rozumieć. Nie sprawia mi to kłopotu. No, widzicie panowie, jak szybko uwinęliśmy się z interesem. To lubię, lubię...

Mazurkiewicz ujął pod ramię Parkanowskiego.

— Podziwiasz obrazy. Niezła kolekcja, prawda!

— A wisi tego sporo — powiedział magister — a ludzie znoszą a ja kupuję. Ludziom potrzebne pieniądze. Trzeba im pomóc. Tylko że ja się nie znam na tym — zaśmiał się jak dziecko, które splotało komuś figla. — Mnie się ramy podobają. A nie potrafię potrzebującemu odmówić.

— Pana złote serce zna już każdy — po-

wiedział patetycznie Mazurkiewicz — i pana pieniądze też.

— Zarabiam, zarabiam, co robić — magister rozłożył ręce — ale pracuję — podniósł palec do góry.

— A jeśli te obrazy są nic nie warte? — zapytał nagle Parkanowski.

Łysy magister pokręcił głową.

— Tanie pieniądze. Żadne ryzyko. O, widzisz pan. Ten widoczek w złotej, ślicznej ramie. Dajem za niego pięć tysięcy złotych. Dla mnie rama więcej warta. To mi wystarczy! Sprzedała mi go jakaś hrabina. O mało mnie, panie, przy tym nie pocałowała w rękę. Dla niej pięć tysięcy dużo, dla mnie mało. Obydwójce byliśmy zadowoleni. Jak się mi znudzi, jak mi się to wszystko znudzi — powiodł ręką po ścianach — każę wyrzucić to co w środku i powstawiam w ramki fotografie mojej rodziny.

— Też sposób — zaśmiał się Mazurkiewicz schlebając temu pomysłowi magistrą.

— A jeśli warte więcej, niżli pan zapłacił — zapytał znowu Parkanowski — jeśli na przykład są to bezcenne dzieła sztuki?

— A pan sądzi, że to możliwe? — magister wyraźnie zaniepokoił się i uważnie począł się przyglądać pierwszemu z brzegu obrazowi.

Były takie wypadki, że obraz, do którego nikt nie przywiązywał żadnej wagi, eksperci uznali, że przedstawia wielką fortunę.

Magister przywarł prawie że nosem do wielkiego pejzażu. Wciągnął powiekrze, jakby chciał zbadać jego wartość przez uchwycenie zapachu farby! Wspiął się na palce, aby sięgnąć do niebieskiej wstęgi nieba, szeroko rozlanej na płótnie.

— Nie, to niemożliwe — osadził po chwili i opadł na pięty. — Pan by dał za to dużo pieniędzy?

— Ja się nie znam na tym. Rozważam tylko możliwości — odpowiedział Parkanowski, który od pierwszej chwili grał rolę człowieka praktycznego pod każdym względem.

— A pan? — magister podskoczył do Mazurkiewicza.

— Wszystko zależy od nazwiska malarza i od okresu, w którym dany obraz malował — wyjaśnił Mazurkiewicz starając sobie przypomnieć nazwiska jakichś malarzy mających markę w świecie.

— A ten, co to malował jak się nazywał? — Pochylił się nad kilkoma esami floresami, którymi autor opatrzył obraz na dole w prawym rogu.

— I co się wie z tego? — magister zajął ręce na brzuchu.

— Może to Chełmoński — rzekł Mazurkiewicz, gdyż to nazwisko przyszło mu do głowy. — Jeśli Chełmoński...

— E, panowie, nie możemy się... zawołał magister. — Małoż to mamy kłopotów? Nie potrzeba mi pieniędzy. Niech sobie obrazki wiszą. Chełmoński, kto to jest Chełmoński. Nie słyszałem o takim. I żyję. I dobrze żyję — zaśmiał się jowialnie ze swego żartu.

— A ja uważam, że warto wiedzieć, co się posiada — oświadczył Parkanowski. Wiedział, że rzucił ziarno niepokoju i że korpu-lentny magister uczyni wszystko, aby zba-



dać tajemnicę swego zbioru. Bawił go ten prosty człowiek z milionami. Bo ileż musiał mieć forsy, by bez zmużenia powieki przyjąć cenę za willę i skupować bez wahania obrazy, które znoszono mu zapewne znając jego lekką rękę i absolutny brak rozezna-nia. Parkanowski był przekonany, że ani jeden z tych obrazów nie miał żadnej wartości. Dlatego też z całą powagą próbował oszo-łomić bogacza.

Magister najwyraźniej jednak pragnął, aby się już wynieśli. Mazurkiewicz zakończył więc wizytę.

— Idziemy, panie magistrze. Gdy tylko pan zdecyduje się na kupno, proszę mnie o tym powiadomić. Obejrzymy sobie willę i dojdziemy do porozumienia. Myślę bowiem, że mniej więcej omówiliśmy sprawę.

— Kolega Mazurkiewicz może mnie repre- zentować. Zna mój adres. Upoważniam go do przeprowadzenia całej transakcji.

(Ciąg dalszy nastąpi)